

MÓDLMY SIĘ

MÓDLMY SIĘ

**AGAPE**  
50 LAT, PLASTYCZKA,  
ŚREDNIE MIASTO

O modlitwie zawartej w jednym zdaniu chciałam, ale nie tylko... Więc jest takie zdanie, które wypowiadam szeptem lub w myślach, kiedy mijam pogrzeby lub cmentarze, kiedy słyszę dźwięk karetki pogotowia, kiedy innym dzieje się krzywda, ale też, choć rzadziej, bez powodu dla samej siebie, a brzmi ono:

„Dobry Boże, Maryjko, Jezusku, Aniołkowie i Wszyscy Święci oraz Jasiu i Heniu miejcie ich/ mnie w swojej opiece”.

Jest Pan teraz jedyną osobą, prócz powyższych, która te słowa poznaje.

Wychowana w wierze katolickiej wypowiadam to zdanie z nadzieją na istnienie jakiejś opiekuńczej opatrności bez względu na to jakie imię nosi.

Nie praktykuję, nie chodzę do kościoła.

Jestem zmartwychwstańcem. Przeżyłam własną śmierć, a moja energia (dusza?) w trakcie reanimacji powędrowała kilkanaście kilometrów dalej, by znaleźć się w rzeczywistości, która jak się później okazało jeden do jednego faktycznie miała miejsce, a której mój mózg nie mógłby zaprogramować, czy też jako realistyczny sen w takich szczegółach zaaranżować.

Śmierć kliniczną przeżyłam 23 maja 2002 roku. Mój pierwszy mąż, człowiek, którego pod naciskiem rodziny poślubiłam w dziewiątym miesiącu ciąży, był agresywnym alkoholikiem, nie uszanował czasu połogu i doprowadził mnie do ogromnych komplikacji zdrowotnych, w tym rozległego krwotoku wewnętrznego. Rzadko to tego wracam, nie stygmatyzuję i nie grzebię w tamtej przeszłości, ale spróbuję teraz opowiedzieć, może być trochę chaotycznie:

Z powodu nieustającego krwawienia i niemożności, żeby zatrzymać je farmakologicznie skierowano mnie do szpitala, oddalonego o dwadzieścia kilometrów od miejsca zamieszkania, na zabieg

łyżeczkowania i obiecano, że jeśli nie będzie komplikacji, to jeszcze tego samego dnia powrócę do synka. Miał wtedy dwa miesiące. Przykazano mi: skoro wyjeżdżam na kilka godzin, mam go nakarmić porządnie piersią. Tego ranka podczas karmienia mój syn Benek zachowywał się niezwykajnie. Zawsze do tej pory jadł z piersi konkretnie, jedna, druga i do widzenia, a wtedy międlili i międlili, i patrzył mi głęboko w oczy... Podczas zabiegu łyżeczkowania doszło do perforacji macicy i przewieziono mnie na salę operacyjną. W trakcie operacji kilka razy ustawało krążenie, a prowadzący ją lekarz nie ustawał w ratowaniu mnie i ponownym przywracaniu do życia. W sumie przez kilkanaście minut. Dokładnie w tym czasie stałam przed domem moich rodziców, u których wtedy pomieszkivaliśmy. Uchyliły się drzwi wejściowe i wyszli z nich moi zapłakani rodzice. Rozmawiali chwilę na tarasie. Zapamiętałam desień kwiatów na koszuli matki i też desień teczki z dokumentami, którą trzymał w dłoni ojciec, ale minęłam ich i przez mały ganek weszłam do salonu.

Stanęłam mniej więcej pośrodku pomieszczenia i nie wchodząc schodami na górę, skądś wiedziałam, że mój synek śpi spokojnie w kołysce w naszym pokoju, a mój młodszy brat czyta u siebie książkę. Spojrzałam też na zegar – była 13.15. Nagle zewsząd zaczął padać malowniczo złocisty, nienaturalny deszcz, to mnie zastanowiło i zadałam sobie pytanie: „Dlaczego nikt nie zwrócił na mnie uwagi? Wracam”. Wróciłam, wybudził mnie płacz jakiegoś dzieciątka, pewnie z oddziału położniczego.

Wiem, że wróciłam dla mojego syna. Po wybudzeniu z narkozy, zobaczyłam tatę, który dotarł do szpitala z opisaną wyżej teczką. W niej była moja dokumentacja medyczna. Od dziecka chorowałam urologicznie, przeszłam kilka operacji, a tego dnia rodzice, gdy dowiedzieli się, że w szpitalu nastąpiły powyższe komplikacje, postanowili, że tata dowiezie dokumenty dla pełnego obrazu moich schorzeń. Tata oczywiście opuścił dom o 13.15. Z czasem potwierdziło się też wszystko to, co w czasie mojej „podróży” widziałam, łącznie z deseniem maminej bluzki.

Jasia i Heniu? To dziadkowie. Wierzę niezmiennie w ich obecność, opiekę i wsparcie. Wiem, że kochali mnie bezgranicznie.

Co ciekawe w kontekście modlitwy – przez wiele lat mojego życia Henio zawsze przy okazji świątecznych życzeń mówił do mnie: „Adziu, Aniołku, zobaczysz, że i na twoim niebie zaświeci kiedyś słońce. Dziadziuś się o to modli”. Henryk odszedł w dniu moich urodzin – 15 września 2008, byłam ostatnią osobą, która z nim przed śmiercią rozmawiała i przy której zasnął na zawsze. Chwilę przedtem znów przywołał to swoje życzenie. „Zadbam o to, nawet gdzieś tam” – tak powiedział. I może trochę naiwnie myślę sobie, że to nie jest przypadek, że mój drugi mąż, którego poznałam kilka lat temu, a który przyniósł mi opiekę i spokój, urodził się właśnie tego dnia i miesiąca, co dziadek – 15 stycznia.

Po trudnych osobistych przeżyciach, po chorobie wyjechałam z moim kilkuletnim wtedy synkiem nad morze. Mieliliśmy zajawkę na zbieranie na plaży kolorowych, szlifowanych szkiełek wypluwanych przez

wodę, których używaliśmy do ozdabiania naszych rzeźb z piasku. Często zatrzymywałam się wtedy w zamyśleniu i patrzyłam na horyzont. Zadawałam pytania, monologowałam w bezsilności. Pewnego razu wyszeptałam: „Jeśli to wszystko ma jakiś sens, to proszę o znak”.

Chwilę potem morze wyrzuciło pod moje stopy sporej wielkości szkło o butelkowej zieleni – było to denko butelki w jakiejś trzy czwartej okazałości. Podniosłam je i spojrzałam w stronę słońca. Na szkle były resztki tłoczenia, mówi się na to ślad produkcyjny, i jedynym, co dało się odczytać, było właśnie słowo:

ZNAK

## **ALICJA KARNIEJ**

70 LAT, EKONOMISTKA, ŚREDNIE MIASTO.  
NAPISANE MIĘDZY DZIEWIĄTĄ A DZIESIĄTĄ  
CHEMIĄ W TRAKCIE LECZENIA CHOROBY  
NOWOTWOROWEJ

Święty Peregrynie, patronie chorych na raka, nie zamierzam się do Ciebie modlić, nie zasługujesz na to. Wybieram inną formę, pisząc do Ciebie list w wielu egzemplarzach, które rozłożę wszędzie. Z Twoją inteligencją nie jest wesoło, ale może coś z tego zrozumiesz, w końcu...

Jakim prawem wkroczyłeś w moje życie? Kto Cię do tego upoważnił? Nie wysyłałam Ci żadnego zaproszenia. Na moje nieszczęście otworzyłam drzwi, myśląc, że listonosz ma dla mnie list polecony. Ty wsunąłeś stopę między drzwi i stało się, zamieszkałeś ze mną na dłużej. Był rok 2013, żyłam z nadzieją, że moja jesień życia będzie podobna do osławionej kolorami polskiej, złotej jesieni. Jakże się myliłam. Ten

rok okazał się dla mnie pasmem porażek. Stosowałam wobec mnie przemoc nie tylko psychiczną, ale i fizyczną. Z tych potyczek wyszłam okaleczona, bez jednej piersi. A tak na marginesie, do czego Ci była ona potrzebna, chyba tylko do kosza. Po iluś miesiącach pojawił się cień nadziei. Tak nagle, jak się pojawiłeś, tak bez zapowiedzi opuściłeś moje życie. Jakaż byłam wtedy szczęśliwa. Mijały lata, przerywane kontrolami na onkologii. Nie mogło tak zostać?

Przyszedł rok 2024, w październiku przysłałeś swego brata, wrednego cancera. Dostałam obuchem w łeb, jestem nadal ogłuszona, obolała, ale już podnoszę głowę do walki z Tobą. Twój krewny, mając pod ręką inne metody walki, uważa, że ze mną wygra. I tu się myli, Co z tego, że jest Rakiem, niech nie zapomina, że jestem Skorpcionem i to nieprzewidywalnym, działałam znienacka, bez ostrzeżenia, trzymając linie obrony w głębokiej tajemnicy.

Podobnie jak wtedy, Rak nie płaci czynszu, korzysta za darmo z mediów. Mówiąc brzydko, mieszka ze mną na tzw. krzywy ryj. Spółdzielnia mieszkaniowa,

a wiem to ze źródeł, szykuje dla mnie pismo, dlaczego mieszkam z niezameldowanym lokatorem, na którego skarżą się już sąsiedzi. Mieszkańcy klatki zaczynają mnie unikać, bojąc się zarażenia.

W tej sytuacji pogaduszki sąsiedzkie zostały mi odebrane, nie mówiąc o krótkich odwiedzinach. Stałam się niewidzialna i to dosłownie.

Podobna rzecz odnosi się do moich znajomych. Ponoć miałam ich wielu, teraz nikt nawet nie zadzwoni, nie mówiąc już o odwiedzinach. Wszyscy boją się Twego krewniaka, Raka.

A ja muszę z nim mieszkać i to już ładne parę miesięcy. Żywi się moim kosztem i to dosłownie, domagając się urozmaiconego menu, a dobrze wie, że nie należę do bogatych emerytek. Chce zrobić dobre wrażenie, częstując mnie co czwartek chemicznym drinkiem, po którym zmieniam się w oczach i nie przypominam dawnej Alicji. Zaczynam nienawidzić czwartków, a taki stan trwa już dwa i pół miesiąca. W piątek jeszcze jakoś trzymam się na nogach, ale przychodzi sobota i niedziela, kiedy jestem nie do

życia, leżąca, bez sił. I jak w tych momentach odnaleźć w sobie radość życia? Człowiek chce tylko przetrwać, żyje dosłownie z dnia na dzień. Przychodzi kolejny czwartek i historia się powtarza, a końca jej nie widać.

Twój przemocowy krewniak oskalpował moją głowę, zabrał bujną czuprynę. Zmusił do zmiany wizerunku, przez niego siłą rzeczy stałam się charakteryzatorką, dokonując cudów, żeby nie wyróżniać się wśród przechodniów. A jest z czym walczyć. Trzeba ukryć łysinę, rumień i plamy na twarzy, zamaskować zaczerwienienia na grzbietach dłoni. Zmuszać się do jedzenia, w sytuacji, kiedy kubki smakowe poszły na nieplanowy urlop. Codziennie walczyć z osłabieniem, które sprawia, że po dłuższym spacerze wracam do domu na miękkich nogach i muszę stosować leżakowanie, zupełnie jak w przedszkolu. Po prostu nie daję rady. Ja, która kiedyś zdobywałam szczyty górskie, teraz z zadyszka wchodzi na drugie piętro.

Jeszcze wchodzi, ale czy tak będzie zawsze? Jak stawiać kroki, kiedy dokucza ci ból paznokci, nawet

u stóp, a stosownego lekarstwa na tę przypadłość nie ma. Do tego jeszcze ta codzienna walka z mrowieniem palców dłoni i stóp. Problemów jest wiele, których nie sposób rozwiązać podczas bezsennych nocy, zwłaszcza nad ranem.

Święty Peregrynie (o ile rzeczywiście jesteś świętym), przekaz swojemu krewniakowi, że ze mną nie wygra. Za mną stoi sztab ludzi w białych kitlach, którzy zrobią wszystko, żebym pozbyła się niechcianego lokatora. A pierwsze jaskółki już widać i słyszać. Nie mam zamiaru Cię informować, kiedy ta eksmisja nastąpi. Nie zasługujesz na to, nie jesteś godnym przeciwnikiem w ewentualnych negocjacjach. Wasz koniec zbliża się nieuchronnie, a cios będzie bolesny. Przegrałam bitwę, ale zwycięstwo w tej wojnie będzie należeć do mnie.

Skorpionica

(Wiadomość od Alicji K. kilka tygodni później po czternastej chemii: „Wynik USG – guza nie ma. Czyli idę ku światłości”).

W.

42 LATA, EKONOMISTA I INFORMATYK,  
ŚREDNIE MIASTO

Ja się modłę do mojej mamy, która była tak dobrą osobą, że jeśli istnieje niebo, to ona z pewnością tam jest. Zmarła w 2021 roku na covid w wielkim cierpieniu.

Można więc powiedzieć, że modłę się do Boga, ale przez wstawiennictwo mojej mamy. Wierzę, że Bóg wysłucha moich próśb, bo ona się za mną wstawi. A uważam, że jest po śmierci święta.

Ogólnie teraz przeżywam kryzys wiary, ale gdy wracam do wspomnień o mojej mamie, wtedy przychodzi mi myśl, że jeśli mimo mojego kryzysu, Bóg istnieje, to wtedy moja mama musi być w oczach Boga świętą osobą i wtedy zaczynam się modlić do niej o wstawiennictwo...

Modłę się swoimi słowami. Przed snem w myślach wypowiadam zdanie: „Panie Boże Wszechmogący ze względu na moją mamę pobłogosław mi i całej mojej rodzinie”.

To może trochę o niej opowiem?

Moja mama była naprawdę bardzo dobrą osobą, biło od niej ciepło i dobroć. Od najmłodszych lat mnie i mojego brata bliźniaka formatowała: co jest dobre, a co złe. Jak się zachowywać, aby nie zranić drugiej osoby. Przykładała naprawdę dużą wagę do tego, aby nas wychować na dobrych ludzi. Przez to rozwinęła u mnie bardzo mocno empatię. A co ważne dawała nam przykład swoim postępowaniem, jak być dobrym, to nie były tylko słowa. Kiedy miałem osiem lat, mieliśmy całą rodziną – rodzice, ja i mój brat bliźniak – wypadek samochodowy. Pijany kierowca chciał na autostradzie w poprzek zmienić kierunek jazdy. Uderzyliśmy w bok samochodu ciężarowego. Mój brat i tata przeszli skomplikowane operację głowy, walczyli o życie przez dwa tygodnie. Cudem przeżyli, choć lekarze nie dawali im szans,

ale nigdy nie doszli do sprawności sprzed wypadku. Moja mama jako najmniej poszkodowana musiała zająć się naszą trójką. Poświęciła na to swoją karierę zawodową. Z perspektywy czasu stwierdzam, że była naprawdę dzielna jak na trzydziestoletnią wtedy kobietę. Ciągłe musiała jeździć z nami do szpitali, po lekarzach i patrzeć na nasz strach i cierpienie. Była bardzo troskliwa i udźwignęła ten ogromny ciężar. Mój tata po wypadku stał się osobą niesamodzielną do podejmowania decyzji i stał się zupełnie innym człowiekiem, niż był przed wypadkiem. Moja mama stała się głową rodziny, musiała sama podejmować decyzje i rozwiązywać rodzinne problemy, których po wypadku było mnóstwo. Wiele osób ją podziwiało, że udźwignęła ciężar opieki nad chorym mężem i moim bratem. Myślę, że często musiała być załamana, ponieważ straciła męża, którego miała przed wypadkiem, człowieka, który był dla niej wsparciem, a po wypadku stał się – nie ukrywajmy – ciężarem. Ja po wypadku byłem w lepszym stanie miałem tylko dwie operacje na nogę, intelektualnie

nic nie straciłem w przeciwieństwie do ojca i brata. Wiele osób mówiło mamie, że oni by chyba nie dali rady podołać takiej sytuacji. Moja mama była osobą wierzącą. Myślę, że w dużej mierze ta wiara w Boga dawała jej siłę do pokonywania przeciwności losu. Kiedy dziadkowie zestarzelili się i wymagali opieki, to ona opiekowała się nimi bardzo troskliwie, to też był dla niej dodatkowy ciężar, ale się nie skarżyła. Choć dziadek był leżący i wymagał całodobowej opieki. Na zmianę z babcią nim się opiekowała.

Moja mama zmarła na covid w wieku 61 lat. Zmarła w wielkich męczarniach w szpitalu. Tydzień przed tym jak zachorowała, pomimo szalejącej epidemii, poszła do kościoła na Drogę Krzyżową, był Wielki Post. Pamiętam, jak mi powiedziała: „Nie potrafię nie pójść do kościoła”. Dlatego jeśli Bóg istnieje, to z pewnością moja mama jest w niebie.

Przeważnie modłę się z intencją o zdrowie dla naszej rodziny.

Pewności, czy modlitwy są wysłuchiwane, nie mam, ale mam nadzieję, że mama otacza nas swoją opieką.

**AGNIESZKA ZGRZYWA**

LAT 52, LITERATUROZNAWCA,  
ŚREDNIE MIASTO

„LITANIA DO LITOŚCIWEGO”

Miłości odwzajemnionej błaganie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Wdzięczności chcenie, szacunku czekanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Ból, że przyjaciół, rodzin, miejsc nietrwanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Z innymi ludźmi się porównywanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Egocentryczne nad sobą płakanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Egoistyczne siebie wybieranie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Cierpienia ludzi nierozpoznawanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.

Drzwi domu swego wciąż nieotwieranie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
O niemożności smętne rozmyślanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Brak bezpieczeństwa przez nieposiadanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
W pędzącym czasie ciągle zabieganie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Żal przez wyborów w życiu dokonanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Nienasycenia ciągle doświadczanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Tego, co się nie wydarzy, żądanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Z kogoś lub czegoś cielca pozłacanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Zauważenia ukryte wołanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Wykorzystania gorzkie obawianie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Zamiast tworzenia przykre narzekanie

Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Zastanym stanem rozczarowanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Dumne niedoskonałością wzgardzanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Skarbów wokoło niezauważanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Wiary w pomyślny przebieg brakowanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Sobie i innym win niewybaczanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Ziryutowanie, innych zniechęcanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Na innych zdanie tępe zagniewanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Tchórzliwe misji swej niewypełnianie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Słowa „zmęczenie” i „odpoczywanie”  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Sensu, jasności, wiedzy wymaganie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.

Strachu mocnego wredne opętanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Samotnych, strasznych lat projektowanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Zdrowia pragnienie, siły zaklinanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
W ciała cierpieniu historyzowanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Przed trudem śmierci złej panikowanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Nieobecności Boga odczuwanie  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.  
Zabierz ode mnie, Litościwy Panie.

Tę „Litanię” napisałam w 2016 roku.

Kilka razy zdarzyło mi się zakochać nieerotycznie (choć byli tacy, którzy twierdzili, że każda siła napędzająca życie jest erotyczna) w kobiecie, dzieciach, starszych ludziach, w zwierzętach. Wszystkie te istoty chciałam natarczywie otoczyć troską, obdarzyć uwagą i w zasadzie wszystkim, co mam najlepszego.

W przypadku chłopca, po spotkaniu którego napisałam „Litanię”, sprawa napadowej fascynacji była prosta. Od jakiegoś czasu przekładałam piosenki. Szukałam wykonawcy. Rzecz jasna, nie szukałam go gorącą nocą w małym wielkopolskim miasteczku, a znalazłam. To była rocznica śmierci mojego ojca, gdy wyszłam z synkiem, by kupić chrupki i kefir. Mimo późnej pory na rynku było dużo ludzi. Jak co roku tego właśnie dnia miasto opanowała salezjańska pielgrzymka. Śpiew „Barki” towarzyszył kilka lat wcześniej agonii mojego taty, co było jak cud – w domu cisza, stoimy przy łóżku, nikt nie włącza radia, a tu jak na zamówienie muzyka i to z takimi słowami – bo do miasta wchodzi pielgrzymka.

Tym razem, w miasteczku, dobiegł mnie wyśpiewywany tuż obok fragment musicalu: „Słuchaj, kiedy śpiewa lud, gdy się u ludu zbiera gniew, taki jest los zjadaczy chleba, gdy kaj-da-nom mówiom nie...”. Głos brał lekko najwyższe partie, był ostry, młody, gwałtowny. Pomyślałam: zacze! Teraz! Zrób to! Bo przepadnie!

Więc: – Czy kolega zawsze tak śpiewa na ulicy?

Gdy następnego dnia pielgrzymka szła dalej do Częstochowy, już wymienialiśmy SMS-y.

Mimo tego pobożnego początku dalsze moje relacje z Maćkiem nie były łagodne. On był z natury artystą prawdziwym, więc przewrażliwionym, kapryśnym, nieprzewidywalnym, urażliwym. Prawdziwym, więc uroczym, pełnym fantazji, rzucającym żartami, wyrażającym otwarcie swoje zdanie. Życie psuło mu charakter, fundując cierpienia, nieprzyjemności i rozczarowania. Na przykład miał ojca, który powiedział do niego w życiu tylko sześć słów:

1. ty
2. jesteś
3. Maciek
4. bardzo
5. mi
6. miło

Wypowiedział je w sądzie, po rozprawie o alimenty.

Poza tym Maciek okazał się nadzwyczaj utalentowany. Nie znając nut, grał na fortepianie,

komponował muzykę ilustracyjną i oczywiście śpiewał.

Przyjechał do nas pierwszy raz z mamą. Bała się go wypuścić do obcych, słusznie. Była też obecna nasza Basia – studentka dyrygentury we Wrocławiu, drugie cudowne dziecko – z Kazachstanu, które kiedyś samo poprosiło nas o opiekę. Basia też bez ojca. A niedługo później i bez mamy. Pech chciał, że tego dnia wyłączyli prąd. – Chciałabym usłyszeć, jak grasz – powiedziała Basia – ale keyboard nie działa. – Nie szkodzi – powiedział Maciek. U siebie na wsi nie miał w tych czasach instrumentu. Prąd oczywiście był, ale cóż po nim, więc Maciek rysował czarnym mazakiem klawisze i sklejał kartki – w ten sposób miał całą klawiaturę i mógł na niej bezdźwięcznie grać. U nas też jedną taką narysował. Więc powiedział Baśce: – Nie szkodzi. Ja będę grał, a Ty patrz.

Nigdy nie zapomnę tej sceny, gdy Maciej grał Einaudiego, stukając długimi palcami o klawisze – w tej ciszy – a Basia oparta o futrynę drzwi śledziła ruch jego palców i słuchała dźwięków, które były dla

nas niedostępne. To był kod ich obojga, ich tajny język. – Przepięknie grasz – powiedziała.

Za lekcje śpiewu płacił dyrektor szkoły salezjańskiej, w której Maciek potem zdał maturę – rozszerzony polski na 100%. Znajomość nut wymogłam na nim ja, za lekcje zapłacił mój kuzyn. Za zagranie kolęd z nut Maciek dostał ode mnie złoty pierścionek, bo oczywiście nie miałam pieniędzy. Ale to już było wtedy, gdy po kryzysie Maciej znalazł się u nas, w naszym nadgranicznym miasteczku. Przyklejałam na stole kartki i układaliśmy jego plan życia.

Każdy element był zaakceptowany przez Maćka: uczyć się niemieckiego, chodzić na wykłady z literatury, nie pić, zapisać się do naszego chóru, praca po drugiej stronie mostu, po roku próba dostania się do Akademii der Kunst. Berlin przecież tylko osiemdziesiąt kilometrów od nas.

Na swoją edukację Maciek miał inne pomysły. Z tego planu wyszło tylko wspólne, coroczne oglądanie pierwszego listopada filmu „Hrabia Monte Christo”. To opowieść, która dodaje chłopcom

wiary w siebie. Niewykluczone, że „coroczne” ograniczyło się tylko do jednego roku, ale plan zakładał powtarzalność...

„Litanię” napisałam po jakimś rozczarowaniu, wkurzona na to, że jest w człowieku, we mnie, nadzieja na wzajemność, na wdzięczność, na uznanie. To upokarza. Koniec. Dosyć. Nie oczekiwać. Zachować godność. I pogodzenie.

Po pierwszych wersach pisałam następne – o wszystkim, co mi przeszkadza w życiu. Monorymem. Średniowiecznym. Bo zawsze było z ludźmi tak samo. Nie pamiętam, co konkretnie we mnie tę litanię wylawinowało. Musiało to być coś pomiędzy tym, jak Maciej umieścił na swoim FB portret siebie w mundurze SS, a tym, jak w Wigilię zadzwonił, że jednak pojedzie do babci. U nas czekały na niego tak samo drogie prezenty, jak dla naszego syna. Maciek miał mi pomóc w ostatnich przed świętami zakupach. Niełatwo było mi dźwigać torby, zaczynała się moja choroba. W tym najgorszym czasie jego przy mnie nie było.

Mieszkał obok w akademiku, a w nocy dzielnie pracował w magazynach pod Berlinem. We dnie spał i komponował.

Cudze dzieci, choćby najbardziej przy nas szczęśliwe, w końcu i tak wszystkie bez wyjątku odchodzą, machając do mnie łapkami, gdy stoję w oknie. Odwracają się i nie widzą, jak w szybach podnosi się powoli, jak w napełnianym akwarium, poziom moich łez.

Wyglupiam się, powiedzmy, że najwyżej w lewym oku mi się coś podniesie – i cofnie.

Odchodzą też dzieci własne. Ostatnio pomyślałam, że jednak w desperacji przykleję kiedyś ogłoszenie na słupie, bo u nas w mieście są nadal słupy ogłoszeniowe, o brawurowej treści: szukam córki. Dorosłej, zgodnie z moim wiekiem. Oferuję wsparcie finansowe i duchowe, i dużo żartów. Na pewno znajdzie się ktoś, kto chce mieć rodzinę, poza tym to finansowe wsparcie... A u dołu dopiszę drobnym druczkiem: „mam endometriozę i jamistość rdzenia”.

Haaaaaaaaaaaaa!

Ja też zawiodłam wiele osób. Widzę to z perspektywy. Zawodzimy jedni drugich. To zasada świata. Ani nie umiemy miłości, ani zdążyć z miłością. W końcu jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga, który cały czas zawodzi świat. A świat odplaca Mu tym samym.

W czasie zaostrzenia choroby i po dwóch operacjach nie modliłam się wcale. I jestem z tego dumna. Upokorzeniem jest się modlić, to nic nie przynosi oprócz smutku. Nie lubię w polskim szpitalu krzyży nad drzwiami. A jeszcze zaraz po przyjęciu mnie na oddział onkologii przyszedł do mnie smutny ksiądz z hostią („Czy to już ze mną tak źle?”). Jedynym sposobem, by poradzić sobie z nieczułością Boga wobec cierpienia, jest założyć, że On nie istnieje. Chyba że istnieje w naturze, przyrodzie. W Niej żyjemy, poruszamy się i jesteśmy. Jest nieprzejednana jak Bóg. Zechce, byśmy zgnili, to gnijemy. W Niej umieramy, nie ruszamy się i nas nie ma.

Dworzec. W przedziale: Maciek, jego rodzona mama i ja. Pociąg rusza. – A Ty wiesz, jaką masz

grupę krwi? – pytam Maćka cholera wie, po co.

– Nie wiem – mówi on. – Mamuś, jaką mam grupę krwi?

Jego mama nie wie.

Masz be-er-ha-minus – mówię ja.

M. Z.

46 LAT, ANGLISTKA W BRANŻY TURYSTYCZNEJ,  
DUŻE MIASTO

Obecnie bardzo często zdarza mi się wypowiadać trzy podstawowe modlitwy: „Ojczy Nasz”, „Zdrowaś Mario” i „Aniele Boży”.

Wszystko to wyszło tak przez przypadek. Mój życiowy partner okazał się być wysokofunkcjonującym alkoholikiem i hazardzistą. Kiedy po latach starania się o to, by jego i nas uratować wreszcie zrozumiałam, że jedyną drogą ratunku dla mnie i dla dzieci jest rozstanie, mój partner wszelkimi metodami, szantażując mnie emocjonalnie, a nawet grożąc starał się nie dopuścić do naszego odejścia. Musiałam szukać pomocy w poradni dla osób współuzależnionych, w ośrodkach pomocy ofiarom przemocy, w moim przypadku psychicznej, i to wszystko

nałożyło na mnie ogromną presję. Nagle ja musiałam podejmować decyzje dotyczące nie tylko mnie samej, ale i przyszłości naszych dzieci. Najtrudniejsze było to, że dzieci nie były już małe. Wiedziałam, że to, co zrobię ja, zaważy na ich losach. Z jednej strony nie chciałam autorytarnie rozporządzać ich życiem, ale z drugiej strony wiedziałam, że nadal są bezbronne i że to ja muszę je przed tą sytuacją ochronić. Dzień i noc w głowie kłębiły mi się myśli, co zrobić, jak zrobić, kiedy zrobić. Strach, obawy, przerażenie, wspomnienia różnych wydarzeń, czy wypowiedzianych słów. Nie byłam w stanie nad tymi myślami zapanować, starałam się koncentrować na innych sprawach, czytać, oglądać filmy, ale nie byłam w stanie skupić uwagi dłużej niż dosłownie kilka minut. Miałam wrażenie, że zwariuję.

Wtedy, nie wiem skąd ten pomysł przyszedł, w takich najgorszych momentach, gdy myśli w mojej głowie galopowały bez żadnej kontroli, gdy serce zaczynało mi walić w piersi, czując, że muszę coś zrobić, żeby się natychmiast uspokoić, zaczynałam

wypowiadać słowa modlitwy. Na początku udawało mi się skupić na tyle, by wypowiedzieć dwie, trzy linijki „Ojcze Nasz”, a potem się gubiłam. Wracałam do pierwszej linijki i walczyłam ze swoją głową, by pozostać na torze pamięci słów modlitwy. Udawało mi się wypowiedzieć po kolei, bez pomyłki pięć, sześć linijek i znowu się gubiłam, i tak w kółko, i w kółko. Pół godziny, godzinę walczyłam o to, by wypowiedzieć bezbłędnie chociaż raz całe „Ojcze Nasz”, ale stopniowo czułam się coraz lepiej. Oddech się regulował, serce przestawało wariować i myśli były coraz bardziej poukładane.

Przekonaawszy się, że ta metoda działa, stosuję ją teraz za każdym razem, kiedy mam jakiś bardzo stresujący moment. Nie doszukuję się w tym żadnego boskiego działania, mam nadzieję, że Bóg mi wybaczy.

Jestem przekonana, że to raczej chodzi o to, że wypowiedanie słów modlitwy działa jak mantra, że w tych najgorszych chwilach mój mózg jest tak przeciążony, że jedyne, co jest w stanie sobie jako tako

przytomnie przypomnieć są właśnie słowa modlitwy, bo to one są wryte w moją pamięć – obecne od najwcześniejszych dziecięcych lat, przywoływane automatycznie, wręcz bez udziału świadomości, coś jak podstawowe oprogramowanie w komputerze, takie, które pozwala się komputerowi uruchomić. Wierzę w to, że taką samą rolę mógłby spełniać jakikolwiek wierszyk wyuczony dostatecznie dobrze w dzieciństwie, nawet „Lokomotywa” Tuwima. Niestety wszystkie wierszyki ze szkolnych czasów pamiętam tylko fragmentarycznie.

Dziś dużo czytam na temat zespołu stresu pourazowego i wiem, że moja interpretacja ma sens. W sytuacjach maksymalnego napięcia emocjonalnego nasz mózg zaczyna działać na poziomie bardziej prymitywnym, traci zdolność kontrolowania skupienia, zapamiętywania i tylko odpowiednia stymulacja pozwala ten proces odwrócić – maksymalne skupienie na bardzo prostych słowach, obiektach, na fragmentach swojego ciała pozwala wrócić do równowagi. Tego typu techniki kontroli stanu psychicznego

są dziś nazywane „mindfulness”, tak więc moją techniką, do której doszłam w sposób intuicyjny jest klepanie paciorków.

Mimo tego, że zostałam wychowana w duchu religii Katolickiej, to w miarę zdobywania wiedzy, w tym wiedzy z zakresu filozofii, nabrałam dużego dystansu do wiary. Nie uczestniczę w nabożeństwach, nie przywiązuję wagi do religijnych tradycji. Kolejne, ujawniane skandale dotyczące występowania w Kościele pedofilii, przemocy, prześladowania kobiet, mniejszości etnicznych i seksualnych budzą we mnie ogromny sprzeciw i obrzydzenie.

Jak większość dzieci w Polsce zostałam wychowana w duchu religii katolickiej, choć w nieco dziwnych okolicznościach.

Moi rodzice byli niewierzący i niepraktykujący, ale „zaliczali” najważniejsze obrządkie religijne z przy czyn obyczajowo – społecznych. Nie wiem dokładnie dlaczego, ale ja i mój brat zostaliśmy ochrzczeni dopiero w wieku około siedmiu lat. Jest to dla mnie dziwne, ponieważ mama mojej mamy była osobą

skrajnie religijną, jej zaangażowanie w wiarę można by było nazwać dewocją. Oczekiwała od swoich dzieci radykalnego podporządkowania się zasadom Kościoła katolickiego. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego babcia nie wymusiła na mojej mamie chrztu, ani dlaczego moi rodzice aż tak długo z tym zwlekali. Rozmawiałam o tym z rodzicami, ale żadne z nich nie jest w stanie podać mi jakiegoś konkretnego powodu, wygląda to raczej tak, jakby nie była to dla nich w tamtych czasach ważna sprawa. Cieszę się, że ani ja, ani mój brat nie umarliśmy, Bogu dzięki, przed siódmym rokiem życia, bo bylibyśmy skazani na wieczne męki w piekle i pochówek poza murami cmentarza.

Mój tata nie interesował się sprawami religii, było mu obojętne, czy chodzimy do kościoła, czy nie. Mama wyganiała nas co niedzielę na mszę, a sama spędzała niedzielny poranek w łóżku. Uczestniczyłam w zajęciach religii prowadzonych przez sympatyczną siostrę zakonną w sali katechetycznej przy kościele. Nie pamiętam gdzie nauczyłam się pacierza,

czy w domu, czy na zajęciach z religii, ale w domu odmawiałam go sporadycznie, możliwe że tylko jako pokutę po spowiedzi.

Będąc małą dziewczynką bardzo lubiłam czytać, ale w domu nie było zbyt wielu książek dla dzieci. Miałam za to opowieści biblijne „Wielka Obietnica” i z braku wyboru to w nich się zaczytywałam. Byłam bardzo wrażliwym emocjonalnie dzieckiem, o bogatej wyobraźni, więc te wszystkie historyjki robiły na mnie ogromne wrażenie. Podobała mi się też obecna w naukach Jezusa idea dobra, pokory i tolerancji.

W miarę dorastania natrafiałam na kolejne książki ocierające się o chrześcijański światopogląd, np. „Opowiadania o nadziei” księdza Mieczysława Małińskiego (mam je w domu do dziś). Nie mogę powiedzieć, czy w okresie dzieciństwa i młodości byłam osobą wierzącą, raczej określiłabym siebie mianem agnostyka, ale wtedy jeszcze nie znałam tego słowa.

Pytanie o to, czy istnieje Bóg, czy to raczej ludzie stwarzają sobie bogów wydawało mi się na tyle fascynujące, że po maturze na kierunek studiów wybrałam

Filozofię Chrześcijańską na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, dzisiejszym UKSW. Studia przebrałam na drugim roku z powodu ciąży. Mam łącznie troje dzieci, nie było już przestrzeni na myślenie o swoim rozwoju.

Będąc mamą starałam się pokazać moim dzieciom Kościół, ale nie tyle z przyczyn ideologicznych, co społeczno-kulturowych. Kultura całej Europy jest zakorzeniona w chrześcijaństwie i nie można pokonywać kolejnych etapów edukacji nie mając przynajmniej elementarnej wiedzy na temat tej religii. Któregokolwiek z tematów z zakresu kultury nie poruszymy, wszędzie są odniesienia do motywów religii chrześcijańskiej, czy to w literaturze, czy muzyce, malarstwie, czy w filmie. Nauczyłam moje dzieci podstawowych modlitw, chodziliśmy na mszę, choć nieregularnie. Moje dzieci są ochrzczone i przyjęły pierwszą komunię świętą.

Już jako dziecko stawiałam sobie milion pytań na temat różnych kwestii dotyczących religii. Dostrzegałam różne sprzeczności, niedopowiedzenia

i niekonsekwencje w naukach kościoła. Niestety, w tamtym czasie nie było przy mnie nikogo, komu mogłabym te pytania zadać. Na część z tych pytań odpowiedzi zaczęły przychodzić z czasem, w miarę zdobywania wiedzy.

Już w liceum zauważyłam, że wszyscy bogowie, których ludzie stworzyli mają zaskakująco dużo cech antropomorficznych, co wzbudziło moje podejrzenia, co do tego, czy to Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo, czy raczej to człowiek stworzył bogów na swoje podobieństwo. Nasza wyobraźnia jest na tyle ograniczona, że nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie istoty, która przynajmniej trochę nie przypominałaby człowieka. Zauważyłam też, że bogowie są obecni we wszystkich kulturach, od najwcześniejszych cywilizacji. To zasugerowało mi, że to raczej w nas, ludziach jest coś takiego, co każe nam wierzyć w istnienie nadprzyrodzonych sił.

Na msze do kościoła przestałam chodzić, jak moje dzieci wkroczyły w wiek nastoletni. Nie było to ani mnie, ani im już potrzebne.

Dziś postrzegam Kościół katolicki tylko jako instytucję. Na pewno jest wiele ludzi związanych z kościołem, którzy czynią dużo dobra, na pewno wiara pozwala wielu ludziom znaleźć sens życia, ale źródło dobra jest moim zdaniem w konkretnych ludziach, a nie w systemie religijnym.

**ARTUR BARBARA KAPTURKIEWICZ**

LAT 64, LEKARZ, DUŻE MIASTO,  
WSPÓŁZAŁOŻYCIEL WIARY I TĘCZY

Napisałem kiedyś taki prosty tekst, który Wiara i Tęcza uznała za swój „hymn”. Nie sądziłem, że tak się stanie, po prostu pomyślałem, że zaśpiewam im tę piosenkę, a ona się spodobała. Śpiewamy ją na melodię, opartą na motywach utworu „Flames of Love”. Ponieważ nie mamy na to legalnego pozwolenia, więc śpiewamy raczej prywatnie, na naszych różnych spotkaniach i rekolekcjach. I to jest właśnie ta modlitwa o którą Pan pyta:

Panie nasz, Boże nasz  
daj nam Twą miłością żyć  
i rozdawać dalej ją  
tam gdzie ludziom serca schną  
Panie spraw, by ogród kwitł

a w nim każdy wzrastać mógł  
i wysławiać Imię Twe  
o to dziś prosimy Cię  
Tęczą barw raduj świat  
różność źródłem siły uczyni,  
wiarę w serca ludzi wlej  
wszystkich nas w opiece miej

Impulsem do napisania tych słów była osobista modlitwa, zainspirowana naszą wspólnotą, w której już doświadczałem i obserwowałem to wzajemne dzielenie się szeroko rozumianą miłością z osobami, które tego bardzo potrzebowały i dzięki temu zaczynały rozkwitać.

Śpiewamy „Panie spraw, by ogród kwitł”. W moim rozumieniu „ogród” to cały ekosystem w którym żyją ludzie oraz wszystkie inne stworzenia i przyroda nieożywiona, czyli po prostu Ziemia.

Zaznaczę, że jestem agnostykiem biorącym pod uwagę możliwość nieistnienia Boga, a jednocześnie jestem wierzącym chrześcijaninem – intuicyjnie czuję obecność Jezusa w moim życiu. Wiara i niewiara współistnieją i przeplatają się w życiu. Wiara jest dla

mnie przestrzenią ogromnego wsparcia, ale też bezkompromisowych pytań i poszukiwań, które rodzą różne napięcia w różnych okresach mojego życia<sup>1</sup>.

Modlitwy nie są u mnie ani specjalnie częste ani systematyczne. Chyba że samo poczucie Obecności też w jakiś sposób jest modlitwą? Poza tym wiem, że inni też modlą się za mnie.

#### 1 **Od kiedy wiedziałeś, że jesteś chłopcem?**

Zawsze. Już w przedszkolu identyfikowałem się z męskimi postaciami z bajek. Widziałem w książce obrazek pastuszek, który uratował koziołka, i mówiłem rodzicom: „To ja”.

#### **Protestowali?**

Próbowali tłumaczyć: „Nie, Basiu, ty jesteś dziewczynką, pastereczką”. A ja na to, że pastuskiem. W naszym domu wisiała reprodukcja „Olszynki Grochowskiej” Wojciecha Kossaka, oglądałem ten obraz i utożsamiałem się z ułanem jadącym na koniu. Biegałem po domu z teksturowym karabinem, ale jedno nie dawało mi spokoju: dlaczego ułani mają krótkie włosy, a ja długie?

#### **Jak sobie z tym radziłeś?**

Byłem bardzo pewny swego. Tłumaczyłem sobie na przykład: widocznie niektórzy ułani mają krótkie włosy. Kiedy rodzice mówili: „Nosisz spódniczkę, więc jesteś dziewczynką”, myślałem, że coś z nimi jest nie tak. Jak mogą nie rozumieć, że jestem chłopcem? Najwyraźniej mają jakiś problem.

#### **Genialna strategia.**

Rodzice wychowywali mnie w silnym poczuciu własnej wartości, pamiętam, że ojciec był bardzo dumny, że ma w domu „małego ułana”. Ta strategia była więc dla mnie naturalna.

#### **To był religijny dom?**

Tak, ale nieprzesadnie. Na pewno nie dewocyjny czy religijnie opresyjny. Mieliśmy kontakty z wieloma mądrymi księżmi. U mojego dziadka Feliksa Młynarskiego regularnie bywał Karol Wojtyła.

#### **Przyjaźnili się?**

Szczegółów nie znam. Dziadek utrzymywał szerokie kontakty towarzyskie, bo był dosyć znaną osobą. W 1924 r. wraz z premierem Władysławem Grabskim wprowadzał reformę walutową. W czasie wojny, za zgodą rządu emigracyjnego, został prezesem Banku Emisyjnego, który drukował obowiązujące w Generalnej Guberni banknoty, zwane od nazwiska dziadka „młynarkami”. Choć był ekonomistą, pasjonował się filozofia i właśnie stąd te wizyty kard. Wojtyły.

#### **Słowem krakowska inteligencja katolicka.**

Myszę, że „umiarkowanie katolicka”. Na pewno nie kościółkowa.

#### **Gdy dorosłeś, zdecydowałeś się stworzyć tradycyjną rodzinę. Masz męża, urodziłeś trójkę dzieci.**

Wielu ludzi, patrząc z zewnątrz, uznałoby, że żyję w jakimś kompletnym rozszczepieniu. A ja wiem, że tworzymy bardzo piękną rodzinę.

#### **W której jednak przez lata byłeś w nie do końca swojej roli?**

Zaskoczę cię, ale psychicznie zawsze byłem sobą. Także wtedy, gdy się decydowałem na macierzyństwo, co się wiązało na przykład z karmieniem piersią. Umiałem być bardzo czuły dla dzieci, choć nie wiem, czy była to typowa czułość matki. I czy w ogóle jest coś takiego jak typowa

czy wzorcowa czułość. Moja tożsamość była i jest całkowicie spójna, choć, jak mówiłem, ludzie na zewnątrz mogą myśleć, że jest inaczej.

### **Nie zdecydowałeś się na tranżycję, ani prawną, ani medyczną.**

To była moja świadoma decyzja, którą podjąłem dla dobra rodziny.

### **Nie żałujesz?**

Absolutnie nie. Kilka lat temu świadomie przeżyłem czas wielkiego pragnienia tranżycji, później długą i głęboką żalobę po tym, że jednak jej nie przejdę. Dziś jestem w pełni pogodzony z sobą i z rzeczywistością. Zresztą z wiekiem moja dysforia płciowa się zmniejsza. Nauczyłem się też chodzić na łagodne kompromisy z życiem, otoczeniem i bliskimi.

### **Jakie to kompromisy?**

Jeśli ktoś uparcie mówi do mnie w żeńskich formach, przyjmuję to z rezygnacją dużego, łagodnego psa, którego niesforne dziecko ciąga za ucho. Jestem ponad to.

### **To pomaga żyć?**

Z całą pewnością mi pomaga, choć wiem, że są osoby, dla których taki punkt widzenia może być trudny do przyjęcia. Zawodowo przedstawiam się jako lekarz Kapturkiewicz, współpracownicy w szpitalu wiedzą, że jestem Arturem. Przez wiele lat, szkoląc młodych lekarzy w zakresie pediatrii i chorób zakaźnych, starałem się zawsze znajdować 10 minut, żeby im powiedzieć o mojej transpłciowości. Tłumaczyłem, że jeśli będą mieli takich pacjentów, to mogą się do mnie zgłosić, chętnie wesprę, doradzę. Teraz już tego nie robię, zresztą mam wrażenie, że większość osób w szpitalu doskonale wie, kim jestem. W rozmowach z personelem używam męskich końcówek. Przy pacjentach unikam form rodzajowych, żeby nie wprowadzać zamieszania. Jestem zmęczony niezliczoną liczbą coming outów, których każdego dnia trzeba dokonywać.

### **W przeciwieństwie do wielu osób transpłciowych nie ukrywasz imienia metrykalnego. Często się przedstawiasz jako Artur Barbara. Jak się z tym czujesz?**

To również mój świadomy wybór. Nie chcę ukrywać swoich danych osobowych, zależy mi, żeby nikt nie pomyślał, że się z czymkolwiek ukrywam, a w dowodzie mam przecież imię żeńskie. Owszem, były takie lata, w których oddałbym wszystko, żeby to imię zniknęło. Dziś również i to pragnienie złagodniało, nie mam też potrzeby wyznawania swego życia sprzed coming outu. (...)

### **Zawsze określałeś siebie jako transpłciowy mężczyzna?**

To był proces, który dojrzywał. W 2008 r. obejrzałem film „Tajemnica Brokeback Mountain” i zrozumiałem, że jestem mężczyzną. gejem. To było jak oświecenie, nagle wszystko mi się ułożyło, jak puzzle. Ale moje wychodzenie z ukrycia następowało powoli. Stopniowo przycinałem włosy, zmieniałem styl ubierania na bardziej męski.

### **Kiedy pojawił się pomysł, żeby stworzyć grupę chrześcijan LGBT+?**

Tuż po tym, gdy sobie uświadomiłem, kim jestem. Jako osoba mocno religijna miałem świadomość, jak koszmarna jest presja wywierana przez Kościół na osoby LGBT. Wyobrażałem sobie ogromną liczbę nieheteronormatywnych wiernych, którzy w milczeniu słuchają okropnych rzeczy, jakie padają na ich temat z ambony. Wiedziałem, jak przez to rozpada się im życie. Pomyślałem, że Bóg mnie stworzył tym, kim jestem, także po to, bym coś dla tych ludzi zrobił.

(...)

*Fragment rozmowy z Arturem Barbarą Kapturkiewicz z książki Marcina Dzierżanowskiego „To jest także nasz Chrystus. Rozmowy z chrześcijanami LGBT+”, Warszawa 2023*

## GOSIA KRYSZEWSKA

LAT 37, PROJECT MANAGER

W MIĘDZYNARODOWEJ FIRMIE,

ZAMIESZKANIE I POCHODZENIE: WIEŚ

Modlitwa to coś bardzo osobistego, o czym rzadko rozprawia się w towarzystwie, a więc nie ma wielu okazji, by poznać cudzą perspektywę na ten temat, ani wyrazić w słowach własnej. Dziękuję więc za tę możliwość.

Napisał Pan na Fb, że nie spotkał jak dotąd osób modlących się za pomocą „Ojcze nasz” albo „Zdrowaś Maryjo”. Melduję się zatem na posterunku! Takie „klepanie pacierza”, jak wielu zwykle to nazywa, stanowi dla mnie odpowiednik mantry albo rytuał rozpoczęcia „modlitwy właściwej”, która jest już moja własna.

Przypomina mi się teraz scena z „Ani z Zielonego Wzgórza” (jednak wolę to stare tłumaczenie), kiedy

Maryla kazała Ani uklęknąć przy łóżku i pomodlić się przed pójściem spać. Ania nigdy wcześniej się nie modliła, więc ten pierwszy raz zrobiła to po swojemu, wyrażając to, co chciała i jak uznała za stosowne. Maryli się to nie spodobało, bo nie tak przecież wygląda modlitwa. A ja zawsze, już jako dziecko, uważałam, że przeciwnie: właśnie TAK możemy się modlić!

A więc pacierzem traktuję start dnia – z nadzieją (a więc i intencją), że będzie on dobry. Pacierzem też zwykle dzień kończę – jako rodzaj ukłonu w stronę Boga i świętych za to, że dzień się odbył od początku do końca i prośbę o spokojną noc.

W trakcie obu tych modlitw wspominam najbliższych zmarłych, za dusze których (chrześcijańskim zwyczajem) też się modlę. Staram się robić to codziennie, ale nie bicuję się za to, że tego raz po raz nie zrobię. Mam też w zwyczaju robić znak krzyża („W imię Ojca i Syna”) przed wyruszeniem w daleką podróż.

Modlitwa „właściwa” nie zdarza mi się bardzo często. Zazwyczaj jest to prośba o czyjeś zdrowie – a bywa, że i życie, powodzenie w sprawie ważnej dla

mnie lub kogoś bliskiego, ważnego. Nie targuję się, nie ustaliam stawek, nie składam obietnic. Wychodzę z założenia, że lepiej jest zagadać i rzucić temat „tam do góry” w nadziei, że akurat ktoś „tam na górze” znajdzie moment, żeby zerknąć i pomóc.

Najbardziej jednak lubię rozmowy wielkopiątkowe, podczas adoracji Grobu Pańskiego, już po uroczystościach kościelnych. Można przyjść do kościoła o każdej porze, przez całą noc. Zależnie od pory, jest albo bardzo cicho i słychać tylko skowronki śpiewające z wieczora lub jest dość gwarno z rana, gdy grupy parafialne zmieniają się podczas czuwania i prowadzą wspólne modlitwy i śpiewy. Nastrój jest w każdym przypadku wyjątkowy, jak cisza nastająca po naprawdę gwałtownej burzy. To jest ten czas i miejsce, kiedy wszystko zwalnia i cichnie, nie ma znaczenia, co dzieje się za murami kościoła.

To wtedy otwieram książeczkę z Pierwszej Komunii i modlę się kilkoma litaniami – jako wstęp. A może bardziej jako odpowiednik small talku z Panem Bogiem?

Potem zaczynam modlić się o to, co akurat jest dla mnie ważne, przekazuję przemyślenia o sprawach ogólnych i szczególnych, rozmawiam. Czy jednostronnie? W sensie usłyszenia konkretnych odpowiedzi, tak. Nie czuję nadprzyrodzonej obecności, nie widzę znaków. Czuję się za to wysłuchana, jak po udanym spotkaniu z kimś, kogo się od dawna nie widziało.

Z kim rozmawiam?

Moja rodzinna i przez całe życie jedyna parafia jest pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny. Od dziecka więc zawsze najswobodniej czułam się, gdy zwracałam się do Niej. Poza tym jakoś tak chyba łatwiej jest pogadać sobie między nami kobietami.

Pamiętam, jak w szkole opowiadano o wycieczkach do Wilna i wizerunku Matki Boskiej Ostrobramskiej, do której łatwiej się modlić, bo na obrazie jest bez Dzieciątka, a wiadomo: przy dzieciach nie opowiada się o wszystkim. Obraz w moim kościele – kiedyś na ołtarzu głównym, a po rozbudowie kościoła bocznym – przedstawia samą Maryję – bez

Dzieciątka. Można więc przyjść do Niej ze wszystkim! Bo jako druga kobieta, wrażliwa, bystra, obserwująca otoczenie i wydarzenia dookoła, będzie świetnie rozumiała i dzisiejsze problemy i rozterki. Ba, ma też na pewno pomysły na rozwiązanie wszystkich spraw, ponieważ cieszyła się dużym szacunkiem otoczenia i posłuchem u Syna, który bądź co bądź był Synem Boga i Bogiem zarazem.

Dowód?

Opisywany cud w Kanie Galilejskiej: to przecież Maryja zwróciła się do Jezusa sugestywnym „Nie mają już wina”. Z Pisma Świętego wiemy tylko tyle, że odpowiedział jej dzisiejszym odpowiednikiem „Mamo, nie nasza impreza”, a potem Maryja mówi tylko służącym, żeby robili tak, jak im Jezus będzie kazał. I Jezus faktycznie wydaje polecenia, zamienia wodę w wino i hurra, wesele uratowane, cud wpisany do karty osiągnięć. Ale, panie Mariuszu, czy tylko ja mam wrażenie, że celowo pomija się tam fragment, w którym Maryja wymownie mówi coś w rodzaju: „Dobrze. Dobrze. Nie nasza impreza,

masz rację. Wujek Jonasz przyszedł na Twoje siódme urodziny i przyniósł Ci nowiutkie sandały, ale to przecież było dawno, prawda. Albo jak ciotka Rachela gotowała Ci kaszę na obiad w każdy poniedziałek jak szedłeś terminować do stryja Amosa. Nie, masz rację, nie nasza impreza. Nie będziemy się wtrącać, absolutnie! Było porządnie liczyć gości, ich problem!”?

Na co Jezus mógł tylko zwiesić głowę i mruknąć: „Dobrze, Mamo...” Tylko że przecież żaden ewangelista nie wtopiłby Mistrza i przedstawił jako kogoś, kto się ugina przed matczynym „DOBRZE” z wyrażeniem wymówioną kropką na końcu.

Poczułam mocniejszą więź z Maryją nie w określonym momencie, a z biegiem życia. Kiedy dorosłam, zaczęłam pojmować i widzieć świat z innej perspektywy: kobiety w świecie mężczyzn, świecie społecznym, świecie polityki bez silnych głosów kobiecych i tak dalej. Maryja nie obracała się pod tym względem w innej rzeczywistości.

Przejdźmy do następnego rozmówcy.

Kieruję się też do Chrystusa, bo mam przekonanie graniczące z pewnością, że gdyby chodził w tej chwili po świecie jako człowiek, to przebywałby chętnie w każdym towarzystwie: bywał na koncertach metalowych, odwiedzał starców w DPS-ach i grał z nimi w chińczyka, rozmawiał przy nadmorskim barze z turystami w sandałach i skarpetach, bywał w zakładach karnych, posłuchać skarg więziennych, a zimą działał jako wolontariusz przy WOŚP-ie. Do niego więc można też uderzyć z każdym tematem.

Do Ducha Świętego idę za to na przykład z prośbami o cierpliwość, żeby trzymał mi uspokajająco rękę na ramieniu, a wcześniej, za młodszych lat, prosiłam o jasność umysłu i pamięci podczas egzaminów.

Do samego Boga modłę się w podziękowaniu za dobre rzeczy, piękno świata, wspaniałych ludzi. Pytam Go też, czy znalazłby w grafiku okienko na spotkanie w moją stronę i wsparcie w trudnej chwili.

Na koniec mogę dodać, że swoistą modlitwą nazwać mogę także moje rozmowy ze zmarłymi.

Odwiedzając groby Taty i Babci, opowiadałam im o tym, co się ostatnio wydarzyło, jakie mam plany na najbliższy czas, co słysząc u innych i powtarzam, że za nimi tęsknię. Bardzo często też przy okazji proszę ich, żeby byli przy mnie i trzymali mnie mocno, kiedy jest mi trudno utrzymać się w jednym kawałku. Z Tatą umówiłam się nawet niedawno, że kiedy nadejdzie lato, to wpadnę do niego z jego ulubionym winem i pogadamy przy kubeczku, bo nigdy nie dostaliśmy takiej szansy.

Zanim przejdę dalej, chciałabym nadać kontekst tego, z jakiej pozycji się wypowiadam. Nie jestem wybitną wierną. Na mszę uczęszczam w niedzielę, na nabożeństwa od wielkiego dzwonu. Modłę się codziennie, ale nie zawsze w nabożnym skupieniu. Osoby świeckie, które wchodzi na ambonę i dają świadectwo tego, jak pewnego dnia obudziły się z jasnym umysłem i pragnieniem Boga, któremu teraz ofiarowują każdy gryz kanapki wzbudzają we mnie lekki niepokój, porównywalny z takim, który czuje się do przysiadającej się w autobusie osoby

rozmawiającej z własnym butem. Obecność księdza i święcenie każdej możliwej gminnej inwestycji spotykają się z moją wewnętrzną lożą szyderców, w której zasiadają sarkazm, ironia oraz mnóstwo pytań. A księdza pedofile – do więziennych izolatek. Najlepiej po kostki w szambie. I ich wspólnicy też.

Mimo to mam jednak tę swoją religijność, z której nie rezygnuję i odmawiam tej rezygnacji.

Zdradzę, że zdarzyło mi się kiedyś poczuć, że modlitwa została wysłuchana w sposób bardzo konkretny. Było kilka takich nieoczywistych sytuacji! Jedną z nich zdarzyła się kiedy byłam jeszcze w liceum i pracowałam w wakacje sezonowo w Jastrzębiej Górze. Spałyśmy wówczas z koleżanką w namiocie w ogrodzie jej ciotki. Jak to nad morzem, pewnej nocy trafił się sztorm, jeden z tych niebezpiecznych (o ile dobrze pamiętam, było to 9 w skali Beauforta). Obudził nas łopot odrywanego od trawnika razem ze śledziami tropiku namiotu. Udało nam się przytwardzić go jeszcze raz i przyłożyć coś ciężkiego po obu stronach (pewnie były to jakieś kamienie

z ogrodu), a kiedy położyliśmy się znowu w naszych śpiworach, obie przypomnialiśmy sobie, że każda z nas wzięła z domu różaniec. Leżałyśmy więc tak, ściskając różańce w dłoniach i modląc się, żeby nie spadło na nas jakieś wyrwane drzewo albo wiatr nie porwał i nie nadział nas na ogrodzenie razem z namiotem. Ja prosiłam też Tatę o to, żeby trzymał ten nieszczęsny namiot, dopóki wiatr się nie uspokoi. O czym dowiedziałam się rano, koleżanka modliła się o to samo, przy czym prosiła o pomoc swoją Babcie.

Kiedy wstałyśmy rano, okazało się, że dookoła i we wszystkich miejscowościach w okolicy otocznie wyglądało jak po wojnie, a nasz namiot wytrzymał, i tropik też!

Chyba Pana nie zaskoczę odpowiadając, że wiara to dla mnie kompas moralny. Nie jest jednak tak, że z każdym dylematem zastanawiam się, co podpowiadałaby mi Biblia albo Jezus – nie jestem z tego typu wierzących. Myślę, że wiara ukształtowała we mnie granice tego, co jest zgodne z moim sumieniem, a co nie jest.

Weźmy jako chyba najbardziej jaskrawy przykład aborcję. Kościół wyraża się jasno: nie i koniec. Natomiast ja nie wierzę w Boga, który zsyła na ludzi cierpienia, żeby sprawdzić, co się stanie (na pewno ma lepsze rozrywki, podobno uwielbia tworzyć żuki i ja to hobby szanuję). Bardzo pięknie mówił o tym ks. Jan Kaczkowski: Bóg to nie jest starzec siedzący na chmurze, który zsyła choroby i nieszczęścia, bo nie podoba mu się czyjaś gęba. Rzeczy się po prostu dzieją – i już. Jeśli więc mówimy o przypadkach tragicznych, na przykład kiedy ciąża jest obciążona ogromnym ryzykiem utraty życia matki albo pewności śmierci samego dziecka tuż po porodzie, to kobieta powinna mieć możliwość podjęcia własnej, przemyślanej decyzji. Jeśli ciąża jest zwyczajnie niechciana – tutaj już jest to tylko kwestia cudzego sumienia. Moje by naruszało, więc gdyby mi się zdarzyła tzw. kinder niespodzianka, wzięłabym to na siebie. Był seks, jest dziecko; to podstawowa biologia. Gdyby za to przysłała do mnie koleżanka i pytała, co ma robić, powiedziałabym jej, że moje sumienie uważa,

że związek przyczynowo – skutkowy był od początku jasny i teraz trzeba dogadać się z ojcem, na ile chce być obecny w wychowywaniu i utrzymywaniu dziecka. Ale to jest MOJE zdanie i nic ani nikt nie daje mi prawa dyktować jej, co ma robić, bo ostatecznie to jest jej życie, jej sprawa i jej sumienie.

To jest też ten moment, kiedy niejedyn ksiądz zdziłby mnie gromnicą. I poprawił różańcem. No cóż.

Pyta Pan, czy duchowość pomaga mi w radzeniu sobie ze smutkiem, lękiem, stratą? Kiedy byłam jeszcze dzieckiem, tak. Potem świat stawał się coraz większy i zarazem bardziej skomplikowany. Źródła smutku, lęku, poczucia beznadziei i wsysania przez czarną dziurę stały się niemal niemożliwe do zidentyfikowania i radzenia sobie z nimi. Nie wiem nawet kiedy nadszedł moment, w którym straciłam umiejętność modlenia się za siebie. Uznałam, że Bóg i wszyscy święci mają do załatwienia prośby od ludzi z większymi i bardziej poważnymi problemami, a ja byłam zwyczajnie nieposkładana i sama sobie winna, że mi źle. Jeden z klasycznych objawów epizodów

depresji, prawda? Trafienie w ręce terapeuty zajęło mi wiele, wiele lat. Miałam to ogromne szczęście, że już za pierwszym razem była to terapeutka, która doskonale się mną zaopiekowała. Po około siedmiu miesiącach solidnej pracy, otworzyłam się – jeszcze powoli i bardzo nieśmiało – na rozmowę z bliskimi zmarłymi (szczególnie z Tatą) i próbę modlitwy za siebie. Najczęściej było to zapalenie ofiarnej świeczki przy ołtarzu Maryi w naszym kościele, spojrzenie w jej malowane oczy i wewnętrzne zawołanie „Pomocy!”.

Obejrzałam kilka dni temu w internecie dyskusję „progresywnych chrześcijan” i „konserwatywnych chrześcijan”. Całość była bardzo ciekawa, ale padło tam zdanie, które rozłożyło mnie kompletnie i wywinęło intelektualnego axla z podwójnym toeloopem. Kiedy padło pytanie o to, czy osoby LGBTQ+ mogą wejść do nieba, przedstawiciel grona konserwatywnego, pastor, powiedział: „Nie. Do nieba nie wejdą ani oni, ani pijacy, ani awanturnicy, ani W OGÓLE NIKT INNY”. Ponieważ w momencie, w którym zostajemy dopuszczeni do nieba, przestajemy być

istotami ludzkimi, z naszymi ziemskimi cechami, przywarami, orientacjami, płciami, zawodami, a nawet imionami. Stajemy się istotami niebieskimi, które przebywają u Boga”. Aż musiałam się zatrzymać. Jakże to jest rewelacyjne wyjaśnienie istoty chrześcijaństwa! Nie ma znaczenia, KIM jesteśmy, ale JACY jesteśmy.

Nie jestem z tych, którzy na smutki i żale doradzają: „Chwyć za różaniec i pomódl się, a zobaczysz jak się wszystko samo ułoży!” Jeśli faktycznie to komuś pomaga, to świetnie, zazdroszczę. Ale tak jak modlitwą nie wyleczy się guza mózgu, tak nie wyleczy się nią też problemów psychicznych. Nauka i wiara mogą się uzupełniać, ale nie zastępować. To dwie, zbyt różne rzeczy.

## JANINA

LAT 53, ZAJMUJE SIĘ DOMEM

I GOSPODARSTWEM, WIEŚ

Modlitwa? Życiem staram się modlić...

Dla mnie modlitwa to spotkanie... Wierzę w Boga i kocham, a z kimś, kogo się kocha, chce się być. Zatem uważam że On jest przy mnie stale. Mówię Mu „cześć” rano i „dobranoc, śpij dobrze” wieczorem. I cieszę się z wielu pierdół, i się wkurzam, kłócę, obrażam o różne sprawy. I proszę „Żebyś na nasze dorosłe dzieci miał oko i żeby Putinowi i jemu podobnym łeb ktoś uciął...”.

Tak, to wszystko to jest moja modlitwą.

Ściskam w dłoni krzyżyk, który noszę na szyi i to też jest modlitwa. Zawsze wiem, że On JEST. Gadam z nim o wszystkim i w każdym, że tak powiem, położeniu. Potrzebuję czuć, że mogę się

do Niego zwrócić, bo czuwa nad moim durnym życiem.

Myślałam o tym, czego Bóg najbardziej we mnie słucha, ale doszłam do wniosku, że On w swej boskiej nieograniczoności i tak wie wszystko, zanim ja cokolwiek powiem, czy pomyślę.

Kilka lat temu, zupełnie irracjonalnie jak na mnie, pojechałam na rekolekcje. Pierwsze w życiu, nie licząc tych adwentowych, czy wielkopostnych w mojej parafii, które nic mi nijak nie robiły... Wróciłam z niedzielnej mszy, włączyłam komputer i na hasło „rekolekcje” wyskoczyły mi właśnie te. Zapisałam się, pojechałam i tam dotarło do mnie, że Bóg to Obecność. To był fundament ćwiczeń ignacjańskich, o których nic nie wiedziałam, ani o świętym Ignacym.

Podkreślam: nie miałam relacji z Bogiem do czasu wspomnianych rekolekcji... On sobie był, ja sobie byłam. Nie modliłam się też. Z obowiązku chodziłam na niedzielną mszę. Ślub kościelny, bo trzeba. Czwo-ro dzieci, więc cztery chrzty. I tyle. Nie wchodziłam

z Nim, proszę pana, w żadną relację. Nie odpowiadałam na możliwości. Ale mam wrażenie, że On czekał...

A jak mi teraz pomaga! Moje spojrzenie na sytuację dzięki Niemu zmienia się, dostaję nadzieję i wiarę. Tak było z przyjęciem orientacji seksualnej córki. Mieszkam na mazurskiej wsi, w rodzinie pełno fobii i bałam się kochać moje dziecko takim jakie jest. Bóg to zmienił, zabrał strach.

Dzieci nie chodzą do kościoła poza najmłodszą szesnastolatką. Syn żyje bez ślubu kościelnego, dwoje wnucząt – cztery i dwa latka – też bez sakramentu chrztu, córka najstarsza – singiel, młodsza lesbijka w związku, najmłodsza nastoletnia – religijna...

Kocham ich wszystkich, że ach! I oczywiście opowiadam o nich Bogu, chociaż On i tak wszystko wie...

Wszystko lubię robić z Nim. A najbardziej w ciszy cieszyć się chwilą. Spokojną kawą i zadziwieniem przyrodą: śpiew ptaków, szum liści, łoś na łące za oknem, krążący nad sadem ptak drapieżny,

jaszczurka... I przyglądanie się ludziom... Uwielbiam obserwować ludzi, jacy są różni...

Aaaaach!!!

**MICHALINA**  
39 LAT, RADCA PRAWNY,  
DUŻE MIASTO

Nauczyłam się „Zdrowaś Mario” po włosku i odmawiam w tym języku. Język włoski tak pięknie brzmi, że i modlitwa jest jakoś przyjemniejsza:

„Ave, o Maria, piena di grazia,

Il Signore è con te.

Tu sei benedetta fra le donne

E benedetto è il frutto del tuo seno, Gesù.

Santa Maria, Madre di Dio,

Prega per noi peccatori,

Adesso e nell'ora della nostra morte. Amen”.

Nie znam, niestety, włoskiego. Może kiedyś...

Wypowiadanie słów modlitwy, takiej tradycyjnej, pełni dla mnie funkcję mantry. Skupiam się na wypowiedaniu słów, tyle że bardziej na ich brzmieniu,

niż na znaczeniu. To pozwala mi oderwać myśli od spraw przyziemnych, wprowadzić się w pewien stan duchowy, z zachowaniem elementu katolickiego, w którym zostałam wychowana.

Kiedy słyszę swoje słowa po włosku, pojawia się uczucie podobne do przyjemności, jaką odczuwa się po spotkaniu ze sztuką lub podczas jedzenia wyśmienitej kolacji. Zatem ma ono wymiar zarówno estetyczny jak i emocjonalny. Można powiedzieć, że estetyka, jakiej doświadczam podczas odmawiania modlitwy w języku włoskim wprawia mnie w wyjątkowy stan, który przewrotnie ma wymiar nieco hedonistyczny.

Innych języków nie próbowałam. Myśl o odmawianiu właśnie „Zdrowaś Mario” po włosku zrodziła się podczas lektury „Leonardo da Vinci. Zmartwychwstanie bogów” Dmitrija Mereżkowskiego. Wynotowałam z niej pewien fragment dotyczący Boga, który bardzo do mnie przemawiał:

„Leonardo znowu zaczął malować głowę Chrystusa.

Dziś Marco d'Oggione rzekł do niego: – Mistrzu, ciebie

i nas, twoich uczniów, pomawiają że chodzimy rzadko do kościoła i że pracujemy w dni świąteczne.

– Niech tam świętoszkowie mówią, co im się podoba, nie uważajcie na nich i bądźcie spokojni o wasze zbawienie – odparł Leonardo – Badać naturę równa się modlitwie. Poznając prawa przyrodzone, tym samym czcimy ich Twórcę, wielkiego artystę Wszechświata, uczymy się go kochać, albowiem prawdziwa miłość do Boga płynie zawsze z rozległej wiedzy. Kto mało umie, ten mało kocha”

I jeszcze „Pamiętajcie zatem moje dzieci, że miłość to córa wiedzy, tym żarliwsza i gorętsza, im rozleglejsza jest wiedza.”

W jednej ze scen pada „Zdrowaś Mario” po włosku. Przeczytałam ten fragment i olśniło mnie. To było sześć lat temu, byłam w dość trudnym momencie życia i modlitwa pomagała mi w poradzeniu sobie z bardzo przykrymi emocjami, z wizją konieczności pogodzenia się, że nie zostanę nigdy mamą, a byłam wtedy w trakcie długoletniego leczenia.

Kiedy już nauczyłam się na pamięć całej modlitwy, to była dla mnie nowa jakość. Jej brzmienie po włosku poruszyło we mnie coś głębiej. Jakby przemasowało do innej części duszy niż język polski. Trudno owo poruszenie oddać słowami. Zważywszy na trudne okoliczności, o których pisałam wyżej, potrzebowałam szczególnego ukojenia dla duszy. Doświadczalam wtedy specyficznego rodzaju straty, bo tęskniłam przecież za kimś kogo nie było.

Szukałam wtedy takich okruszków pocieszenia. Znajdowałam je w podróżowaniu, obcowaniu ze sztuką, w literaturze, w modlitwie, w muzyce. Zaczęłam nawet uczyć się gry na saksofonie. Słowem, we wszystkim co wydawało mi się piękne, dobre i rozwijające duchowo. Odmawianie modlitwy w języku włoskim było tym okruszkiem.

Pewnego razu, podczas podróży do Bergamo umówiliśmy się ze znajomymi na swobodny czas spędzony dowolnie na ulicy handlowej, każdy miał chwilę na pobuszowanie po sklepach. Chodzę od sklepu do sklepu, po jednej i drugiej stronie ulicy

– witryny pełne drogich mniej lub bardziej ubrań, czy perfum i nagle między jednym a drugim sklepem widzę ciasno upakowane, zupełnie niepozorne wejście do kościoła... Otwieram, wchodzę i nagle cisza. Jakby ktoś wyłączył nieznośny szum, który dopiero kiedy cichnie, to człowiek zdaje sobie sprawę jaki był irytujący. Z gwarnej ulicy weszłam wprost do kameralnego, zacisznego kościoła. To była najlepsza runda po ulicy handlowej jakiej kiedykolwiek doświadczyłam. Niczego wtedy nie kupiłam, ale za to jak korzystałam dobrze duchowo, jeżeli można tak powiedzieć.

Ta modlitwa po włosku to chyba też trochę wyraz mojego rozdarcia między tym, że wierzę w Boga, ale pałam okrutną niechęcią do Kościoła katolickiego i jego nauczania. Nie akceptuję tego co się w Kościele jako instytucji dzieje, ale uwielbiam sztukę, architekturę sakralną, którymi zachwyciłam się podczas podróży do Włoch. Z tego też względu pomysł z modlitwą w tym języku.

Szczerze mówiąc, wspólnota ludzi tworzących Kościół wzbudza we mnie nieufność. Ludzi

praktykujących gorliwie, ale bezkrytyczne podążających za stanowiskiem prezentowanym przez kler, się boję. I nie ma w tym cienia przesady. Stąd też od Kościoła w tym rozumieniu stronię i pełniej przeżywam duchowość w samotności, w ciszy, a nade wszystko w naturze. Natura i wszechświat są dla mnie dowodem na istnienie Boga. Mela Koteluk śpiewa o tym, „co przyrodzie daje tyle mocy i nie istnieje”. Ja mówię przekornie, że nie tyle wierzę, co nie chce mi się wierzyć, że to wszystko może być dziełem przypadku, czy efektem spontanicznej mieszanki praw fizyki i chemii. Kiedy wypowiadam swoją mantrę, bardzo często myślę o wszechświecie, o tym jaki ogrom mocy i przestrzeni mnie otacza. Tu z kolei bardzo często przywołuję w myślach informacje zwarte w książce „Wszechświat w Twojej dłoni” Galfarda Christophe’a. Informacje, które – wstyd się przyznać – były dla mnie dość szokujące. Piszę „wstyd”, ponieważ wcześniej sądziłam, że jako dojrzały już człowiek mniej więcej wiem w jakiej przestrzeni funkcjonuję, a tu okazało się, że moje

wyobrażenie było w sposób znaczący ograniczone. Zjawiska obecne we wszechświecie to dla mnie magia na jawie. Myślę sobie, przecież to wszystko ma taki rozmach, taki rozmiar, taką moc. Nie mogę dać wiary, że to wszystko tak po prostu, tak z niczego. Moje myśli często wędrują w te strony, kiedy wypowiadam moją mantrę.

Kiedy już wprowadzę się nią w ten duchowy stan, rozmawiam z Bogiem tak po ludzku, o wszystkim. Za co jestem wdzięczna, co zdarzyło się nie tak, o co proszę.

Są pewne stałe punkty, wokół których krąży ta moja rozmowa „po ludzku”. Dziękuję, przepraszam, proszę. W zależności od tego, co się w moim życiu aktualnie dzieje. Jedyne element związany z prośbami można określić jako rytuał, ponieważ z reguły proszę zawsze o to samo.

Usłyszałam kiedyś taki cytat, ponoć pochodzący od św. Ignacego Loyoli: „Módl się tak, jakby wszystko zależało od Boga, a działaj, jakby wszystko zależało tylko od ciebie”. Bardzo mi się ta myśl spodobała,

ponieważ nieświadomie całe życie tak robiłam, muszę przyznać, że to się bardzo sprawdza. Nic mnie jednak tak nie przeraża jak – jak ja to nazywam – „kursy kolizyjne”. Ja się za każdym razem modlę, aby mnie lub moim ukochanym ludziom nie przytrafił się kurs kolizyjny. Krótko mówiąc chodzi o znalezienie się w wyjątkowo nieodpowiednim czasie i miejscu.

Zjawisko, które mam na myśli zostało doskonale zobrazowane w jednej ze scen w „Ciekawym przypadku Beniamina Buttona”, kiedy to na czynniki pierwsze rozłożono wszystkie zbiegi okoliczności, które doprowadziły do potrącenia Daisy, jednej z bohatererek. Z góry przepraszam za być może niestosowny przeskok jeżeli chodzi o powagę rzeczy, ale właśnie niedawno natrafiłam na wypowiedź Lema, przytoczoną w „New Yorkerze”, który o czasach wojennych opowiadał tak: „Z bolesnych doświadczeń nauczyłem się, że różnica między życiem a śmiercią zależała od błahych, pozornie nieważnych rzeczy i nieistotnych decyzji: czy wybrało się tę, czy inną ulicę w drodze do pracy; czy odwiedziło się

przyjaciela o pierwszej czy dwadzieścia minut później; czy zastało się drzwi otwarte czy zamknięte”.

Niezbyt często wychodzę w swoich prośbach poza schemat dotyczący chorób i kursów kolizyjnych. Zakładam, że reszta zależy w dużej mierze ode mnie i nie będę Bogu zawracać tym głowy, no chyba że naprawdę mocno mi na czymś zależy.

Modlitwa daje mi poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Natomiast w krytycznych momentach życia, kiedy dusza boli człowieka w każdej sekundzie, tak jak ząb czasem boli, moja modlitwa, w szczególności część poświęcona na mantrę, jest jak środek przeciwbólowy, który działa w czasie rzeczywistym. To jak gdyby hipnoza, która doprowadza do hibernacji przykrych uczuć. W takich chwilach mantra to jak wchodzenie pod płaszc ochronny, żeby choć na chwilę odpocząć, zaczerpnąć powietrza. Myślę, że w taki stan pomaga mi wejść silne przekonanie, że tam u Niego jest naprawdę bezpiecznie, że naprawdę istnieje ta siła która nie tylko daje moc przyrodzie, ale również która mnie obroni.

Jestem Mu dziś wdzięczna najbardziej za ludzi, którzy mnie otaczają. Niełatwo przecież zgromadzić w swoim najbliższym otoczeniu ludzi, którzy nadają na tych samych falach co my, którzy dają siłę zamiast ją wysysać, którzy są tacy po prostu „nasi”. A ja mam aktualnie takie szczęście, że i w pracy, i wśród przyjaciół i w rodzinie otaczam się takimi ludźmi, którzy dodają mi skrzydeł.

Nie zawsze tak było. Jedni pojawili się w moim życiu stosunkowo niedawno: moje dzieci, mąż, współpracownicy. Inni – rodzice, rodzeństwo – byli zawsze, ale dopiero dziś, po latach potrafię spojrzeć na nich z innej, mniej krytycznej perspektywy, a właściwie odkryć ich na nowo. Ogromnie dziś to wszystko doceniam.

## MARCIN DZIERŻANOWSKI

LAT 48, DZIENNIKARZ, PSYCHOTERAPEUTA,

DUŻE MIASTO

Moja historia modlitwy jest długa i skomplikowana. Modliłem się dużo i od dzieciństwa. Tak mnie nauczono. Był czas (głównie w okresie dorastania), że modliłem się chorobliwie dużo, wręcz obsesyjno-kompulsywnie. Modlitwa miała wtedy charakter magiczny, odczyniała lęki, chyba głównie przed życiem.

Pamiętam, że w wieku mniej więcej trzynastu lat modliłem się o to, by Bóg zabrał mi pociąg seksualny do mężczyzn, który uważałem za grzeszny. Ponieważ nie zostałem wysłuchany, dość szybko odpuściłem Panu Bogu tę intencję.

Gdzieś po czterdziestce, gdy zacząłem przeżywać kryzys wieku średniego, moja wiara mocno osłabła.

Przez to dziś modlę się dużo mniej. A czasem, jak się modlę, przychodzi do mnie wątpliwość, że gadam do siebie.

Jest jednak modlitwa, która towarzyszy mi przez całe świadome życie. To modlitwa do Św. Antoniego, patrona pomagającego odnaleźć zgubione rzeczy. Pamiętam, jak się zaczęła. Mam jakieś sześć lat, w przedszkolu gubię worek z kapturami. Nie powinienem się dziwić, od wczesnego dzieciństwa ciągle coś gubię, najczęściej rękawiczki, szaliki czy drobne pieniądze, które dostaję od rodziców na gofry i lody. Po latach zdiagnozują u mnie ADHD i dowiem się, że to przez to ciągle wszystko gubię. Ale w dzieciństwie myślę, że po prostu jestem bezmyślny, roztargniony, nieodpowiedzialny. Zwłaszcza, że mój starszy brat nigdy niczego nie gubi.

Wtedy, w wieku sześciu lat, wpada mi w ręce książeczka zatytułowana „Nowenna do Św. Antoniego”. Trzeba odmawiać krótką modlitwę przez dziewięć dni z rzędu, wtedy każda zguba się znajdzie. W modlitwie są nawet słowa: „Każdy kto z wiarą prosi, co

szuka znachodzi, poświadczają to wszyscy, i starzy, i młodzi”.

Po kilku tygodniach zgubione kaptcie się znajdują – w jakimś zupełnie niewiarygodnym miejscu. Jako sześciolatek uważam to za cud.

Odtąd modłę się do Św. Antoniego w sprawie każdej zguby. Prawie mechanicznie. A gubię coś ciągle – portfel w tramwaju, cenną, starą książkę pożyczoną na studiach od profesora, paszport na dzień przed służbowym wylotem do Sudanu Południowego. Za każdym razem Św. Antoni znajduje mi to, co zgubiłem. Działa, niezależnie od tego, jak się aktualnie ma moja wiara w Boga. Wiem, że to nie ma sensu – wątpić w istnienie Boga, ale nie mieć wątpliwości co do Św. Antoniego. Ale nic nie poradzę. Tak mam.

Czasem się zastanawiam, czy Św. Antoni pomoże mi też odnaleźć zgubionego Boga.

ANNA

LAT 47, DYREKTORKA W KORPORACJI,  
DUŻE MIASTO

Nie wiem do kogo się modłę, serio mówię.

Mysłę, że gdzieś we Wszechświecie jest jakaś siła, jakiś stwórca, który wysłuchuje naszych modlitw. Nie utożsamiam stwórcy z żadną konkretną religią, ale gdybym miała określić, do kogo mu najbliższej, to byłby to chyba Bóg katolicki, ale bardziej z naszych czasów – czyli raczej opiekun a nie srogi Ojciec, który dobro wynagradza a zło karze.

Modłę się tylko i wyłącznie przed snem, chyba, że zapomnę. Raz w dorosłym życiu weszłam do kościoła i poruszona mistyczną atmosferą modliłam się w budynku. Był to czysty przypadek, mogłabym się pomodlić w meczecie, czy synagodze, nie miało to dla mnie znaczenia.

O co się modliłam w tym kościele?

Może zacznę od początku. Kiedyś, gdy byłam młodą kobietą, miałam szczęście do dziwnych relacji damsko-męskich. Bardzo potrzebowałam miłości, czułam się niekochana przez rodziców. W skrócie: ojciec pił, matka faworyzowała starszą siostrę. Pewnego dnia spotkałam mężczyznę, w którym z miejsca zakochałam się i pomyślałam, że z nim chciałabym założyć rodzinę. Co jakiś czas spotykałam go w gronie wspólnych znajomych, ale on wydawał się nie być mną zainteresowany. Zwiedzając jeden z kościołów, a bardzo lubię zwiedzać sakralne obiekty, uznałam, że miejsce jest idealne do pomodlenia się. Usiadłam w jednej z ławek i zaczęłam mówić: „Spraw, żeby ten mężczyzna mnie pokochał”. Tego samego wieczoru przyśnił mi się. Sen był bardzo realistyczny, zaczęliśmy się w nim spotykać na serio.

Gdy rano się obudziłam, byłam pewna, że będziemy razem. I tak się stało – Robert jest moim mężem od dwudziestu pięciu lat.

Dobrze, będzie przypis, jak się poznaliśmy. Było to w pociągu. Wracalem z mojego rodzinnego miasta do Warszawy, w przedziale siedzieli moi znajomi i Robert. Kiedyś było tak, że pociągi niedzielne do Warszawy były bez rezerwacji miejsca, po prostu kupowało się bilet i umawiało się ze znajomymi na rezerwację przedziału. Ktoś przychodził wcześniej i jak ktoś inny chciał wsiąść, to się mówiło, że zajęte, bo czekam na innych pasażerów. I tak było wtedy. W przedziale siedzieli nasi wspólni znajomi, wtedy para, potem wzięli ślub, dziś są po rozwodzie. Zarezerwowali kilka miejsc, w tym dla mnie i dla Roberta. Całą drogę rozmawiałam z nim na temat różnych książek. Okazało się, że w tym samym czasie czytaliśmy „Annę Kareninę”. Byłam w szoku – inżynier czyta Tolstoja? Potem, gdy rozmawialiśmy po latach na temat tej lektury, mąż się przyznał, że po tej podróży czytał ją szybko, bo chciał powiedzieć, w razie ponownego spotkania, a mieliśmy mnóstwo wspólnych znajomych, że już przeczytał. Ja wręcz przeciwnie – czytałam bardzo powoli i dokładnie. Normalnie

połykam książki a po latach czytam jeszcze raz, już na spokojnie. Czytałam więc tę „Annę Kareninę” wolno, żeby pamiętać szczegóły, żeby w razie rozmowy z nim na ten temat nie okazało się, że czytałam po łebkach. Chcąc nie chcąc, czytaliśmy tę powieść i ciągle myśleliśmy o sobie.

Wtedy, kiedy jechałam tym pociągiem, byłam w związku z innym mężczyzną, ale już psuło się między nami. Pamiętam, jak kilka dni później ćwiczyłam swój podpis z nazwiskiem Roberta. Z tym podpisem wcale nie była taka oczywista sprawa, bo jestem feministką i uważam, że żona nie jest niczyją własnością. Zastanawiałam się bardzo długo, jednak zwyciężyło to, że nie znosiłam swojego ojca i jego nazwiska. Ojciec, jak wspominałam, był alkoholiczkiem i wyrządził mi wiele krzywdy w życiu.

Pamiętam, że gdy oznajmiłam ówczesnemu narzeczonemu, że odchodzę, powiedział: dziękuję.

Wracając do Roberta. Co jakiś czas widywałam go na różnych towarzyskich spotkaniach. Mieszkał z moimi bardzo dobrymi znajomymi, wszyscy

pochodziliśmy z jednego miasta. Widywaliśmy się co kilka miesięcy aż w końcu jego współlokatorka, chyba na moją prośbę, zorganizowała u nich w mieszkaniu imprezę. Rozmawialiśmy wtedy o sterownikach do drukarki Epson, która zamieniała polskie znaki na krzaczki. Wiedziałam jak to zmienić, a on nie, więc mieliśmy pretekst do wymienienia się mailami i przekazania sterowników. A potem chodziliśmy na randki, ale to ja z tego co pamiętam wychodziłam z inicjatywą, więc nie byłam pewna jego zamiarów.

Między tymi randkami pomodliłam się ten jedyny raz w kościele. Spłynął na mnie spokój, że to się uda i że w końcu będę szczęśliwa. I wtedy spokojnie randkowałam i czekałam na miłość z jego strony.

Zapomniałam o tej całej historii, aż do chwili, gdy znów potrzebowałam pomocy. Już nie pamiętam, o co się modliłam, ale udało się – moja prośba została wysłuchana, potem znów. Wtedy zaczęłam modlić się codziennie. Ale rzadko prosiłam o coś konkretnego, dziękowałam za opiekę i prosiłam o dalszą. Nie tylko o moich bliskich, ale także

w stosunku do ludzi, których znałam, a którzy byli w trudnej sytuacji.

Przed rekrutacją młodszej córki do liceum modliłam się o to, aby dostała się do takiej szkoły, w której będzie szczęśliwa. Nie bałam się o wyniki rekrutacji – wiedziałam, że cokolwiek się stanie, ona będzie szczęśliwa. Córka dostała się do liceum Czackiego. Czy jest w nim szczęśliwa? Chyba tak, bo gdy pytam, czy poleciłaby liceum innym, to dokładnie się dopytuje, co to za osoba, żeby broń Boże nikt niefajny nie przyszedł do jej szkoły.

Modliłam się przed śmiercią mojej bliskiej koleżanki, żeby nie cierpiała (miała glejaka). Wiedziałam, że nie ma szans na uleczenie, więc nie modliłam się o rzeczy nierealne. Prosiłam o opiekę nad jej rodziną. Tutaj sama pomogłam trochę, organizując niezwykle ważną w ich przypadku kwestię testamentu.

Modliłam się o teściową, gdy umierała – o opiekę nad nią. Normalnie prosiłabym Stwórcę o to, aby ją zabrał do siebie jak najszybciej, bo była w szpitalu, bardzo cierpiała, nie było szans na wyzdrowienie, ale

wiedziałam, że jej córka bardzo walczy o jej zdrowie i życie, więc nie wtrącałam się do tych spraw. Uznałam, że to Stwórca zdecyduje, jak będzie najlepiej.

Z Kościołem jestem na bakier. Bardzo na bakier. No nie cierpię księży. Nie mam ślubu kościelnego, córki są nieochrzczone. Nie wiem, jak to nazwać. W razie śmierci, bliscy wiedzą, że pogrzeb ma być świecki. Nie uważam zatem, że modląc się, tworzę wspólnotę religijną.

**IZABELA CHAMCZYK**

LAT 45, MALARKA I PERFORMERKA,

WARSZAWA

Oto moja modlitwa – niemodlitwa. Dziwnie nazywać to modlitwą, bo jestem bardzo antyreligijna, zwłaszcza mam duży sprzeciw wobec religii katolickiej, która zrobiła mi wiele złego...

Czy to modlitwa do siebie samej?

Jest to tak zwana afirmacja z tappingiem – wprowadzanie siebie w wysokie wibracje energetyczne, programowanie siebie na dobro. Słowa wypowiada się powoli i z przekonaniem, skupiając się na nich, wizualizując sobie to, co mówimy. Nie używamy negacji, nie można więc mówić na przykład „zasługuję na brak lęku”, bo nasz mózg wyłapuje słowo „brak” i wbrew naszym intencjom na nim może się skupić. Słowa za każdym razem trochę się różnią

i wypowiedane są zawsze w innej kolejności, tak jak czujemy, według tego, co nam przychodzi do głowy.

Zawsze robię to w wannie i zawsze rano.

Zamykam oczy.

wdech ..... wydech

wdech ..... wydech

wdech ..... wydech

Opuškami palców tappuję czyli delikatnie opukuję klatkę piersiową nad mostkiem, tam gdzie znajduje się grasica i mówię:

– zasługuję na dojrzałą, dobrą miłość

– zasługuję na spokój

– załoguję na duże pieniądze

– zasługuję na własne mieszkanie

– zasługuję na dobro

– zasługuję na spokój

– zasługuję na duże pieniądze

– jestem otwarta na sprzyjające koincydencje

– jestem otwarta na energie wszechświata

– troszczę się o siebie

– zasługuję na sukces

- zasługuję na spokój
- zasługuję na duże pieniądze
- zasługuję na własne mieszkanie
- zasługuję na bezpieczeństwo
- zasługuję na wsparcie
- zasługuję na docenienie
- zasługuję na zawrotną karierę
- i zasługuję na spokój
- zasługuję na ukojenie emocji
- zasługuję na dobrobyt i dobrostan
- zasługuję na duże pieniądze
- zasługuję na własne mieszkanie
- zasługuję na spokój

Przestaję tappować, kładę prawą rękę na lewym obojczyku.

wdech ..... wydech

wdech ..... wydech

wdech ..... Wydech

Otwieram oczy.

To mój rytuał. Rytuał, jak sama nazwa wskazuje, a ja nie odżegnuję się od tego sformowania to po

łaczenie *ritualis* od *ritus* – obrządek, zwyczaj. Powtarzalna czynność, która wykonywana jest w celu osiągnięcia pożądanego skutku, czyli modlitwa jak i kibicowanie klubowi sportowemu, czy jedzenie sernika na śniadanie, też możemy do tego zaliczyć. Tapping jest moim rytuałem, dzięki któremu czuję się lepiej, jednak modlitwą bym tego nie nazwała, bo nie ma w tym prośby, nie jest kierowany do kogoś lub czegoś. Jest to moje, dla mnie, przeze mnie. Mogę to robić lub nie, nie mam nakazu, zakazu, przykazu... Modlitwa kojarzy mi się jednak z czymś lub kimś wielkim, od kogo jesteśmy zależni.

Używając tappingu jesteśmy zależni tylko od siebie i nakierowujemy własne myśli na dobre tory energetyczne.

Moja rodzina nie była zbyt religijna. Chyba sęk w tym, że nie było w niej właściwie żadnych wyższych wartości i zasad. Nie było fundamentu, ani żadnej kotwicy, niczego pewnego. Będąc dzieckiem szukałam tego bezpieczeństwa – oczywiście absurdalnie – w kościele, który miał jasno określone prawa

i obowiązki. Zanim się obejrzałam byłam już w pułapce przykazań, nakazów, poczucia winy, niskiej wartości i poniżenia kobiet oraz bezprawia wobec nich. Gdy tylko mój młodzieńczy umysł załapał, że religia Kościoła (właściwie nie ważne jakiego) zabiera swobodę wyboru, możliwość samodzielnego myślenia i samostanowienia, drastycznie odsunęłam się od wszelkich religii, doktryn czy nauk o „niepозnanym”.

Zawiodłam się. Tam, gdzie mała ja szukałam akceptacji i bezpieczeństwa, byłam siłowo kształtowana na uległą, bezwolną postać, mieszana z tłumem, tłamszona i ignorowana. Owszem, może rozwinęło to we mnie pewien rodzaj... wrażliwości? Jestem uwrażliwiona teraz na łamanie praw, na niejednostkowe traktowanie człowieka, na kłamstwa i oszczerstwa. Jednocześnie latami odbudowuję swoje poczucie wartości i pozbywam się poczucia winy („moja wina moja wina moja bardzo wielka wina...”). Dzięki ci, Kościele, ty chuju!

Tapping pokazała mi moja terapeutka, która próbowała wszelkich sposobów, żeby wyciągnąć mnie

z lęków, stanów depresyjnych i nerwicy. Na początku byłam sceptyczna – bo nie wierzę autorytetom i naukom „niepозnanym”. Jednak w takich momentach człowiek próbuje wszystkiego, żeby wyjść na powierzchnię. Na początku tapping robiła mi terapeutka, używała go jako sposobu na uspokojenie, wyciszenie, opanowanie emocji i zdystansowanie się. Później zaczęłam to robić sama. Uspokajało mnie to i działało. Różnica między wiarą i tappingiem jest taka, że to działanie bazuje na energetyce.

Energia jest wszędzie, a myśl to po prostu przeszył energii. Nie mówię, że przemawia do mnie tylko „szkiełko i oko”, działania tappingu z pewnością nie można do końca wyjaśnić, jednak to czym i jakim on jest, zależy tylko ode mnie. Nie ma odgórnych praw nakazujących lub zakazujących czegoś przy tej technice afirmacji. Pozytywne myślenie i grasicowanie – jak wspominałam – opukiwanie miejsca na klatce piersiowej, gdzie znajduje się grasica, po prostu koją i uspokajają ciało i umysł. Nakierowują nas na bardziej pozytywne postrzeganie rzeczywistości.

Przede wszystkim, rano jest czasem dla mnie, czasem spokoju, gdy nastawiam się, szykuję na wyzwania dnia. Moje życie artystki, jest pełne niepewności, niepokoju i braku poczucia bezpieczeństwa, tymczasowości. Żeby umieć w tym funkcjonować, trzeba mieć oparcie głównie w sobie samej. Poranny taping przybliżył mnie do siebie, nadaje kierunek moim myślom, skupia na celach.

Zmieniło się to, że – serio! – odkąd robię taping, nie jestem w tak złej sytuacji finansowej, jakiej byłam przedtem. Nie głoduję i mam na czynsz – co kiedyś nie było takie oczywiste. Oczywiście to nie tylko dzięki tappingowi, przede wszystkim do poprawy mojego życia przyczynia się moja praca w sztuce i ze sobą. Jednak taping pozytywnie nastraja mnie do działania każdego dnia, uspokaja i dodaje wiary w siebie, w to że mam wpływ na to, jak wygląda moje życie.

Religia to zabiera. Zabiera możliwość wyboru i samostanowienia. Mimo, że moje życie nadal nie jest usłane różami, bo być artystką, zwłaszcza w Polsce

jest bardzo trudno, jakoś daję radę i się nie poddaję. Gdy rano nie zrobię tego „rytuału” nie wyciszę się przed gonitwą dnia, moje myśli są bardziej chaotyczne, a emocje rozedrgane.

Czy mam swoją duchowość, niezależną od religii?

Duchowość, niestety, mocno kojarzy mi się z religią, z duchem, duszą... Ale nie ma co się kłócić, oprócz ciała mamy jeszcze coś. Czy nazwiemy to właśnie duchowością albo uczuciowością, emocjonalnością lub wyobraźnią – wszystko jedno. Każda istota to ma, nie tylko ludzka. Ludzie od zawsze szukali sensu swojego istnienia, kto wie może i zwierzęta mają ten sam dylemat?

Śmierć jest tą wspaniałością, która zostawia ogromne niedopowiedzenie i przestrzeń na wszelkiego rodzaju domysły, wymysły czy pomysły. Nieznane jest intrygujące. I mimo że bywa irytujące, prowadzi ludzkość do rozwoju. Artyści i artystki spełniają w społeczeństwach określoną funkcję – brniemy w to niepoznane, zagłębiając się w nie po swojemu, indywidualnie, na oślep lub wierząc w swoje odkryte prawdy.

Jest takie powiedzenie „Boże, wybacz artystom”. Stwarzamy świat na nowo, według własnego uznania budujemy nowe prawdy, przebudowujemy stare, zagłębiają się w niepoznane po swojemu. Jednak nie zmuszamy nikogo by w nas wierzył.

**KATARZYNA DĄBROWSKA-JANKIEWICZ**

LAT 52, URZĘDNICZKA,

DUŻE MIASTO

Modłę do Matki Boskiej, chyba dzięki mojej polonistce z II LO w Gliwicach, pani Lidii Kozuch.

Jestem po profilu humanistycznym, „Pana Tadeusza” przerabialiśmy, interpretując lekturę na siedmiu poziomach, więc krótko mówiąc, była to profesorka z misją. Przy „Bogurodzicy” dała nam piękny wykład o Maryi, która jest pośredniczką pomiędzy naszym, ziemskim światem a boską rzeczywistością. Ze wszystkich boskich bytów ona jest nam najbliższa. Najbardziej nas rozumie i jako pośredniczka może zanieść nasze prośby do swojego Syna. A tu już mamy Absolut i Świętą trójcę.

Tym co mnie poruszyło to słowa, że była człowiekiem, którego spotkało coś niezwykłego, coś co

wymyka się zrozumieniu. Nie chodzi tylko o to, do czego została wybrana, ale o to, co stało się potem.

To było takie inne od wizji Niepokalanej Dziewicy z nauki kościoła. A jednocześnie znajome bo byłam wychowana w katolickiej rodzinie. Mieszkaliśmy razem z babcią, bardzo religijną, uczciwą i dobrą osobą. Pamiętam, że gdy kiedyś w warzywniaku wydano jej za dużo, na obecne czasy jakieś 400 zł, to rodzice byli oburzeni, że chce to oddać. Bo przecież nie ukradła, tylko prywaciarz za dużo wydał, na biednego nie trafiło. A babcia i tak oddała. Babcia odmawiała regularnie różaniec, bardzo wierzyła w jego siłę, różne litanie, codziennie była w kościele. Mama chodziła tylko w niedzielę a tata, jako stary komunist, w ogóle. W takim domu dorastałam. Ale mój kontakt z Maryją był od zawsze, bo Babcia szczerze i głęboko w nią wierzyła. Może pani od polskiego tylko zagrała mi na starej nucie?

Największą satysfakcję mam po takiej klasycznej modlitwie, kiedy klękam, żegnam się i po prostu modlę się tymi słowami, które znam, a potem tymi które

przyjdą mi do głowy. Czyli zaczynam od „Zdrowaś Mario”, potem inne modlitwy, również własne, improwizowane, potem prośby i czasami rozmowa czyli monolog.

Często mam poczucie, że ktoś nade mną czuwa. Jak wtedy gdy nagle zgasł mi silnik w fieście i dzięki temu nie zmiotła mnie ciężarówka, której nie widziałam nocą, na słabo oświetlonej drodze.

To był bardzo trudny czas dla naszej rodziny, mieliśmy dużo zmartwień. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale jechałam wtedy bardzo mocno zamyślona. Byłam już blisko domu. Musiałam tylko wyjechać z podporządkowanej drogi i skręcić w lewo. Było ciemno, pusto, nikogo na drodze. Spojrzałam w lewo, w prawo i zaczęłam wjeżdżać na drogę. Wtedy zgasł mi samochód, a z lewej nagle strony przejechała ciężarówka. Byłam w tak ogromnym szoku, bo to było tak jakby ktoś mi wyjął kluczyk ze stacyjki w czasie jazdy. Zupełnie bez powodu ta mała fiesta (o imieniu Korina, zawsze nazywam swoje samochody, teraz jeżdżę Jantrą) po prostu zgasła. Bardzo dziwnie

się poczułam, tak jakby ktoś jeszcze był w tym samochodzie. Nie potrafię opisać tego uczucia, zrobiło się jakby gęściej... A za chwilę zaczęłam całą drżeć. Nie potrafiłam ani utrzymać kierownicy, ani nogi na gazie, bo cała się trzęsłam. Ale do domu miałam już tylko 300–500 metrów, więc jakoś dojechałam. To było jakieś dwadzieścia lat temu a ja wciąż pamiętam swój szok. To były sekundy, gdybym była pół metra dalej to byłoby już po mnie...

Dołączam rysunek poglądowy. Korina zgasła mniej więcej w tym miejscu, w którym jest narysowana:



Często coś złego omija mnie o mały włos, coś spadnie obok albo nie przetnie mnie do końca. Czuję nade mną Opatrzność, mam w życiu szczęście. Przypadek? Nie wierzę w przypadki.

Mam też wesołe – z perspektywy czasu – wspomnienia boskich interwencji. Parę lat temu musiałam zatrzymać się w stolicy u kuzynki a potem ominąć centrum i wjechać na drogę na Śląsk. Nawaliła mi nawigacja, chyba godzinę samotnie krążyłam po mieście. Dojechałam do centrum. Byłam już tym zmęczona, wręcz załamana i wtedy szczerze, z głębi serca pomodliłam się do św. Antoniego (wiadomo czemu) oraz do św. Judy – patrona spraw niemożliwych. No i dosłownie za chwilę dojechałam do tablicy z kierunkiem na Katowice.

Wierzę w inny wymiar, dobre duchy i inne byty więc Maryja jest dla mnie istotą duchową. Wierzę w jej ludzko-boski wymiar. Jest kimś, komu mogę bezgranicznie zaufać, przed kim mogę wyznać wszystkie swoje winy, kogo mogę prosić o łaskę zdrowia, mądrych decyzji, wytrwałości.

Codziennie staram się dziękować za to co mam: rodzinę, dach nad głową, ciepłą wodę w kranie. Nie traktuję tego jako oczywistości. Leżąc w łóżku, przed zaśnięciem, dziękuję za dzień, który minął, i przy okazji proszę o kolejny albo o siły na to co może przynieść.

Wskazane jest wsparcie nauk, kapłanów, kościołów, są to naturalne powiązania, które zawsze towarzyszyły religiom na całym świecie. Jednak z oczywistych powodów nie przyjmuję tego w komplecie.

Świątynie, pieśni, modlitwy, księgi, rytuały, zapachy to wszystko jest stymulujące, wzmacniające i obrazujące wiarę. Wiara tego pozbawiona, wydaje mi się uboższa. Natomiast jeśli chodzi o kapłanów i głoszone przez nich nauki, to sprawa wygląda inaczej. Kościół katolicki jest zacofaną instytucją, zepsutą moralnie, wchodzącą w politykę. niesprawiedliwą i pogardliwą wobec ofiar księży pedofilów. Można by powiedzieć: „nie ma tam czego szukać”. Ale w tym strasznym mroku, który spowija kościół tli się jeszcze isierka nadziei. Czy był to działanie Ducha

Świętego, czy wykazali się mądrością – tego nie wiem, ale wybrali spośród siebie najwłaściwszego. Taką isierkę widzę w Leonie XIV.

## ELŻBIETA MIĘTUS

66 LAT, FILOLOG POLSKI, NAUCZYCIEL  
JĘZYKA POLSKIEGO I DYREKTOR SZKOŁY  
(„NIE JESTEM ZA FEMINATYWAMI”), ŁÓDŹ

Ta intymna część mojego życia zasługuje, jak myślę, na zaistnienie ze względu na adresatkę modlitwy. Otóż modlę się, a raczej mówię, a czasami mam wrażenie, że rozmawiam z moją ukochaną zawsze babcią Zosią.

To była wspaniała, dzielna, niezwykła kobieta. Dla mnie nauczycielka życia, powierniczka, autorytet. Jest ważna wciąż. Moja jedyna wnuczka nosi po niej imię. I geny. O babci mogę dużo i długo. Wierzę, że jest z nami, rozumie nas i czuwa. Zna mnie i moich bliskich, wie zatem o co chodzi, czego trzeba, co dobre i złe dla nas. Babcia była bardzo wierząca i praktykującą katoliczką. Tak mnie wychowała. Ale ja dziś wierzę przede wszystkim w energię. I wiem, że to właśnie ta jej dobra energia istnieje.

O co się do niej modlę? O konkrety. Nie ogólnie o zdrowie, ale „żeby na przykład mojej wnusi zniknęła wysypka; o dobrze napisany egzamin córki, o spokojne dni w pracy; ale też o to, żeby nie uciekł mi autobus; a przede wszystkim dziękuję za bycie z nami, za opiekę, za czujność”.

Świadomość, że mówię do konkretnej, bliskiej, znanej, kochanej i kochającej osoby jest siłą i mocą.

Naprawdę.

Sądzę, że zgodnie z regułami religii katolickiej babcia absolutnie spełniła wszystkie wymagania, aby dostąpić świętości. No i zwyczajnie – nie jest dla mnie bytem abstrakcyjnym ani obrazkiem czy figurą. Wiem, jak z nią rozmawiać, bośmy spory kawałek życia przeżyły razem przegadały – dwadzieścia osiem lat.

Po pierwsze myślę, naprawdę tak myślę, że Bóg ma tyle spraw, Maryjka też, są znajomymi tak wielu... A moja Babcia ma tylko mnie i moich najbliższych, których znała. Zosia, choć jest jej prapraprawnuczką, też ma jej geny i imię z genezą babciową.

Wierzmy, że wymodliła cudowne ocalenie mojej mamy w czasie wojny. Myślę, w kontekście Boga, że on naprawdę był w niej, jeśli wierzyć, że Bóg istnieje. A ona wierzyła. I rozumiała tę wiarę. I dawała jej świadectwo każdego dnia. Czynami, słowami, staraniem, chęcią, otwartością.

A zatem: jeśli modłę się do babci, to przez nią do Boga. Ale właśnie PRZEZ NIĄ.

Cała rodzina, babcia, dziadzius, wujek i mama podczas okupacji zostali wywiezieni do Niemiec. Każde gdzie indziej, do pracy przymusowej. Mama miała czternaście. Babcia czyli jej mama była w Bawarii, a mama we wschodnich Niemczech. Pod koniec wojny na czas bombardowania mama zawsze schodziła do tego samego schronu. Tak im kazano. A babcia pewnej nocy miała sen o swojej córce. Babcia zawsze bardzo się modliła. Wtedy ponoć jeszcze bardziej, bo przecież nic o sobie nie wiedziały. I następnego dnia zaczęło się bombardowanie, a mama zupełnie nie wiedzieć czemu nie weszła do tego „swojego” schronu, tylko do innego. I właśnie w ten

„jej” uderzyła bomba. Wszyscy tam zginęli. Ciągłe pamiętam opowieści o masakrze. A tam w Bawarii, gdzie babcia doczekała wyzwolenia, podczas alarmów przeciwlotniczych wszyscy biegli za nią, bo opowiadała, że mówili: biegnijcie za Banasiakową, ona wymodli, że nic w nas nie trafi.

Oczywiście, że bliżej mi do konkretnej, kochanej i kochającej osoby niż – z całym szacunkiem dla wiary i tradycji, której nie należy mylić z instytucją kościoła – do jakiegoś abstraktu, jakim jest dla mnie Bóg. Blisko mi do ducha, czy też energii babci. To ona była i JEST ze mną.

A Bóg? Cóż tak naprawdę nie znam go, trochę się boję myślenia o nim, no i rozczarowuje mnie pod wieloma względami.

Skoro będzie to zapisane, to babcia nazywała się Zofia Banasiak z domu Bugajska.

A przed wojną wyglądała tak:



## MICHAŁ ŻELECHOWSKI

41 LAT, URZĘDNIK,  
„NIETYPOWY, BUDUJĄCY RELACJE MIĘDZY  
MIESZKAŃCAMI A URZĘDNIKAMI”,  
ŚREDNIE MIASTO

Im bardziej zaczynam zauważać, że robię sobie z Boga automat do Coca-coli, czyli modlitwa przyjmuje formę listy życzeń..., im bardziej wątpię, że On tam gdzie jest, tym bardziej uciekam do „Ojciec Nasz”.

Im bardziej zaczynam się nad tym zastanawiać, tym więcej sensu znajduję w tych samych od lat słowach. Tam każdy wers, każdy wyraz ma wiele znaczeń. Z czasem zauważam, że ta modlitwa zawiera wszystko, co ważne. Proszę o to, żeby mnie Bóg prowadził przez życie, dawał to, czego potrzebuję, uczył wybaczać i chronił. Co nam więcej trzeba? Jest też „poukładana”, a potrzebuję jakiegoś jasnego układu, zorganizowania.

**Ojciec Nasz, Któryś jest w niebie** – oznacza do kogo mówię.

**Święć się imię Twoje** – „przywitanie”, oddanie szacunku, a w szerszym kontekście – „niech Twoje imię będzie rozpowszechnione i szanowane przez wiele osób”.

**Przyjdź Królestwo Twoje** – wezwanie do tego, w co wierzymy. Skoro wierzymy w zbawienie, życie po życiu, życie w raju, zwał, jak zwał, to wzywam, żeby to się stało już. Z jednej strony trochę strach, bo jestem przywiązany do życia, jakie mam, do dzieci, przyjaciół, nałogów, pracy, przyjemności i wszystkiego, co tu mam i czego nie chciałbym stracić. Z drugiej jednak strony rozumiem sens tych słów.

**Bądź wola Twoja/ Jako w niebie,/ tak i na ziemi** – oddanie Jemu decyzji. Nie w taki sposób, że ja się od niej wzbraniam, że wygodnie jest mi nie podejmować decyzji samodzielnie, ale oddanie siebie do Jego decyzji. „Uważam, że byłoby dobrze, że ja decyduję o czymś tak a tak, ale ostatnie słowo należy do Ciebie”. Często bywa to dla mnie też przerażające. Takie

puszczenie kierownicy – ja jadę, ale ty prowadzisz. Nie jest to wcale łatwe. Miałem sytuacje, w których się spinałem, przez lata do czegoś dążyłem, na siłę, coś zabierało moje myśli, aż do momentu kiedy powiedziałem sobie i Jemu: „Dobra, chrzanię to! ja żyję, Ty zrobisz co uznasz dla mnie za słuszne”. I działało się w bardzo szybkim tempie, w krótkim czasie, to, co chciałem, na co tak się spinałem. Okazuje się, że mój pomysł może był i dobry, ale dopiero odpuszczenie, (p)oddanie się pozwalało na jego realizację.

**Chleba powszedniego daj nam dzisiaj** – piękne zdanie. Czy aby nie najważniejsze dla mnie? Takie proste – „daj mi Boże to, czego mi dzisiaj potrzeba, Ty wiesz czego”. To oczywiście nie zwalnia mnie z działania. Nigdy, albo prawie nigdy nie jest tak że coś „dostanę” bez swojego działania, bez pracy, starania. Raczej nie wygram w lotka, raczej nie spadnie mi z nieba chleb, praca sama mnie nie znajdzie itd. I to „dzisiaj” to faktycznie może być dziś. „Ułóż mi Boże dzień, pomóż mi się w tym odnaleźć, ogarnąć wszystko, co mnie dzisiaj czeka, co mam zrobić”.

### **I odpuść nam nasze winy,/ jak i my odpuszczamy naszym winowajcom**

Znów piękne zdanie! Widzę w nim, oprócz ogromnej obietnicy, trochę zawadiacki uśmiech Boga. Już tłumaczę. To zdanie jest prośbą o przebaczenie: „Boże, wybacz mi to, co zrobiłem źle”. Ale kiedy się nad tym głębiej zastanowić, kryje się w nim również obietnica – może podświadoma – że to przebaczenie rzeczywiście nadejdzie. Może dlatego, że gdzieś z tyłu głowy noszę przekonanie o Bożym miłosierdziu. To daje nadzieję, że skoro my potrafimy przebaczać innym, to i Bóg przebaczy nam. Ale chyba ciekawsze jest drugie zdanie albo oba, potraktowane razem. Wypowiadamy i słyszymy, pierwsze: „Ej Boże, wybacz mi że jestem dziad”, ale nie doczytujemy, nie słyszymy, drugiego – „Jak ja wybaczam innym”. I tu widzę ten boży uśmiešek (takie moje wyobrażenie): „Ha! prosisz o wybaczenie, ale czy sam wybaczasz? Przecież tyle dostaniesz wybaczenia, ile sam dajesz”. Prosić o wybaczenie jest względnie łatwo, ale wybaczać innym – już nie.

To takie typowe: „No dobrze, nie jestem bez winny, ale przecież widziałeś, co ten sąsiad zrobił? A co zrobiła tamta kobieta? Jak żyje tamten gość?”...

To jest lekcja: czy ja na pewno wybaczam tym, którzy zawinili wobec mnie. Przyznaję, że nie widziałem w tym problemu przez większość życia. Kiedy rozwiedli się moi rodzice, nie mogłem wybaczyć mamie ale jeszcze bardziej facetowi, z którym się później związała. A że w małym mieście musiałem czasem się z nim widywać, ba!, czasem nawet pracować, to było bardzo trudne. Nie odzywałem się do niego, omijałem, ignorowałem (długi osobny wątek). I wtedy te właśnie wersy do mnie przyszły i dzień po dniu się wybijały. Mówiłem, częściej lub rzadziej, „Ojczy nasz”, ale to te dwa wersy słyszałem najbardziej, na nich się skupiałem. Mogłem „przespać” całą modlitwę przelatując ją w głowie, ale te dwa wersy zwracały moją uwagę. I kropla drążyła skałę: czy umiem wybaczać? A jeśli nie umiem, to nie ma dla mnie wybaczenia.

Nie wódz nas na pokuszenie – do tego ciągle dorastam. Nie rozumiem. Jeszcze te słowa do mnie

jakoś za bardzo nie mówią. Nie wiem, czy to jest takie proste wezwanie „Ej, Boże, nie podpuszczaj mnie”? Raczej chyba nie. Nie wiem.

Ale nas zbaw ode złego – ale mnie zachowaj od tego, co złe. Uchroń mnie. Tak wprost. Myślę, że te ostatnie wersy jakoś mi się jeszcze kiedyś rozjaśnia, gdy będę mógł je osadzić w swoim życiu.

Nie wiem czy to ma znaczenie, ale odmawiam tę modlitwę na głos bardzo, ale to bardzo rzadko. Przyznam, że pamiętam może jeden taki moment, kiedy faktycznie ją wypowiadałem. Raczej jest to „mówienie” w myślach. Co wcale nie jest łatwiejsze, bo myśli się gubią, urywają, błędzą. Mam z tym problem. To takie myślowe ADHD.

Nie wiem też, czy to wszystko jest poprawne teologicznie. Czy nie stworzyłem tu, i czy nie tworzę sobie w życiu, herezji. Ale to, w sumie, nie ma znaczenia. To jest moje. Odczucia są moje. I są na teraz. Za rok, dwa, dziesięć mogą być inne.

Trudno mi samego siebie zdefiniować w kwestii wiary. Pochodzę z rodziny, w której rodzice nie byli

wierzący. Wychowywali mnie i siostrę w poszanowaniu religii, ale bez zbędnego nacisku na uczestnictwo w praktykach religijnych. Momentami bardzo krytycznie podchodzili do religii i Kościoła.

Jedyne praktyki religijne, jakieś modlitwy czy podstawowe prawdy wiary mam z przekazu i przykładu cici Dady. Była to ciocio-babcia – siostra mojej babci. One dwie zabierały mnie do kościoła, to u nich się modliłem, zostając na noc, to one naciskały, żebym uczestniczył w praktykach religijnych. Ciocia dawała mi przykład ogromnej wiary, zaufania do Boga i – jestem skłonny w pełni świadomie użyć tych słów – świętości. Zrozumiałem to już pod koniec jej życia i po śmierci. Podobnie mój tato, którego można nazwać ostrożnym ateistą, przyznał, że jeśli można kogoś uznać za świętego, to Dada była świętą. Poświęciła samą siebie dla innych, bo tak ułożyło się jej życie.

I ja, taki nieokreślony religijnie, bardziej na nie, niż zaangażowany, wybrałem szkołę katolicką. Poszedłem do liceum katolickiego, bo chciałem dobrego

poziomu nauki. Tam były małe klasy i wysoki poziom języków obcych. Nikt mnie nie namawiał, wielu odradzało. Sam zdecydowałem. Pamiętam pytania mojej mamy, czy po tej szkole mogę być normalny i czy może zostanę księdzem.

Szkoła, choć katolicka nie miała jakichś bardzo zaawansowanych praktyk religijnych. Oczywiście obecność księży i modlitwa poranna – to wszystko było dla mnie nowe. Ale też pokazywało normalność księży. Razem graliśmy w piłkę, słuchaliśmy płyt, jeździliśmy na wycieczki. I oswoiło mnie z tym środowiskiem.

W trakcie liceum, za sprawą jednej dziewczyny, w której się zakochałem, dołączyłem, na chwilę, do wspólnoty neokatechumenalnej. Tam odkryłem podejście, które miałem jakoś naturalnie w sobie: zaufania do Boga, jakiegoś takiego naturalnego powierzenia się jemu i poczucie, że on dba o mnie i się troszczy. Kiedy miłość wywietrzała, skończyła się moja obecność w tej wspólnotcie. Ale zostało mi to poczucie bezpieczeństwa.

Koniec liceum to czas różnych przemyśleń. A studia to czas mojego dystansu do Kościoła i praktyk religijnych. Większe zaangażowanie, nasilona wiara, czy religijność pojawiła się dopiero osiem, czy nawet dziesięć lat później, kiedy już jako mąż i ojciec dwóch córek zetknąłem się z chorobami córki, która jako małe dziecko stale była na lekach, a my z nią wciąż u lekarza. Wydawało się, że po pierwszym dziecku nie będziemy mogli mieć więcej dzieci. Wtedy też, wraz z żoną, zaangażowaliśmy się w Drogę Neokatechumenalną, tę samą, w której ja uczestniczyłem w liceum. Zarówno podejście, założenia Drogi jak i spotkani tam ludzie, a także same katechezy zaowocowały zmianą podejścia i wzrostem wiary, bardziej rozumnym i sięgającym do korzeni.

Z czasem we wspólnocie została tylko moja żona. Doszedłem do miejsca, w którym więcej rzeczy mnie tam denerwowało, niż dawało ukojenie, czy zaspokajało potrzebę duchowości.

Opowiem o sytuacji sprzed siedemnastu lat, ale znaczącej:

Jestem świeżo po ślubie, oboje z żoną mieszkamy w Krakowie, mamy dobre, stabilne prace. Szukamy mieszkania do kupienia. Rynek się rozwija, budują szybko i wszędzie – mieszkania, domy, szeregówki. Patrzymy na mieszkania pod Krakowem, Niepołomicze, osiedle Żubr, mamy wybrane, umowa leży na stole, prawnik ją przejrzał i stwierdził, że typowa, nie ma się co obawiać. Dzień później żona dowiaduje się, że jest w ciąży i będziemy mieli córkę. Zastanawiamy się dalej nad podpisaniem umowy, kredytem na wybrane mieszkanie.

Tydzień później umiera ciocia Dada. W dniu pogrzebu mój tato wyjmuje z wazonu w rodzinnym domu zwitek papieru i mówi: „Ciocia prosiła, że bym ci to dał”. Odręcznie napisany testament, w którym mam zapisane jej mieszkanie – 60 metrów, trzy pokoje, blok-kamienica w samym centrum naszego rodzinnego Krosna. Przyznaję, że nawet to nas nie wzruszyło – zostajemy w Krakowie, mieszkanie w Krośnie poczeka, jeść nie woła, można je wynająć. W kolejnym tygodniu dzwoni dobra znajoma, że jej

ojciec, szef działu handlowego w dużej firmie farmaceutycznej, szuka przedstawiciela na Podkarpacie. Z pensją, której nie byłem w stanie wypowiedzieć na głos bez zająknięcia. Z samochodem służbowym do użytku prywatnego, masa benefitów, o których nigdy mi się nie śniło.

Po namyśle zdecydowaliśmy, że wrócimy do Krosna, że wyremontujemy mieszkanie po cici, że pensja na razie wystarczy na utrzymanie naszej dwójki-trójki.

I choć każde ze wspomnianych wydarzeń już można rozpatrywać jako taki mini znak obecności Boga w codzienności, to najlepsze dopiero wydarza się w Boże Narodzenie 2008. W wiadomościach podają, że deweloper budujący osiedle Żubr w Niepołomicach zniknął. Zostawił zaczęte domy, bliźniaki, szeregówki, jedne mniej, inne bardziej wykończone. Zgarnął ileś tam milionów złotych i zniknął. Ciarki na plecach, gula w gardle i łzy w oczach przed tym telewizorem, no nie do opisania. Z tego co wiem, to osiedle nigdy nie zostało dokończone.

Takich sytuacji jest ogrom. Każdego dnia niemalże. Pytanie jak do tego podejmiemy? Czy to nazwiemy szczęściem, zbiegiem okoliczności, fartem, powodzeniem? A w zasadzie – niezależnie od tego, jak to nazwiemy, ważne jest czy to odbierzemy to jako taką „codzienną obecność”.

Czasem myślę, że się pomylił. W sytuacji poważnego kryzysu małżeństwa, w sytuacji przedrozwodowej patrzę wstecz i myślę, że to był błąd, choć chyba nie tylko mój... Ale nie obarczając Go winą, przyjmuję ją na siebie. Ale zastanawiam się, gdzie było to jego prowadzenie. Choć może kiedyś to zrozumiem, albo On z tego wyprowadzi coś, co mnie zaskoczy miło.

Tak, mam takie momenty, często zwykłe, codzienne właśnie, kiedy czuję że coś się dzieje takiego, co można uznać za obecność Boga, za jego działanie.

Nie jest to jakieś specjalne uczucie, ciepło, zimno, czy też chóry anielskie nie śpiewają nade mną. Ale taką obecność można czuć w zwykłych momentach, które ktoś uzna za zbieg okoliczności, szczęście, fart. Dla mnie to są takie... cuda codzienne.

Na przykład, jak wygląda finansowy miesiąc urzędnika. Wypłata wpływa 28. każdego miesiąca. Opłacam dzieciom szkoły, przedszkola, zajęcia dodatkowe, płacę rachunki, kredyt, tankuję auto... Pieniądzy starcza, przy odrobinie szczęścia, do pierwszego tygodnia kolejnego miesiąca. Można uznać mnie za patologię i niegospodarną osobę, choć akurat pana prosiłbym o to, żeby odbierał mnie nieco inaczej... A jednak żyję i pieniędzy wystarcza nam na normalne życie. Nikt nie chodzi głodny, dzieci mają nowe ubrania, ja też sobie nie krzywduję i lubię dobrej jakości rzeczy. Jeżdżę nie nowym, ale przyzwoitym autem. Chodzę na konwersacje z angielskiego, dzieciaki grają w piłkę, wspinają się na ściankę czy chodzą do szkoły językowej. Mamy się dobrze. Bo miałem wiele razy sytuację, kiedy działo się coś niespodziewanego – awaria auta, wizyta lekarska, a na koncie zostawało mi 2,80, i to nie jest przenośnia, i myślałem sobie, i trochę jednak się bałem, bo tylko głupek by się nie bał: Kurde, co teraz?! Jak ja mam szybko zarobić? I w momencie, kiedy

potrzebowałem tych pieniędzy, dostawałem przelew – nagrodę, zwrot, premię, jakiś przelew, o którym zapomniałem, że ma przyjść.

Moje dzieci, mam ich czwórkę... Po pierwszym dziecku, córce Marysi, lekarze uprzedzali: możemy nie mieć więcej dzieci. Jednak sama liczba dzieci już jest dowodem na to, że jednak... Druga córka – ciąża zagrożona, możliwe jakieś wady w sercu, a rodzi się zdrowa. Jako dziecko dużo choruje – borelioza, ciągle na lekach, ziołach i w różnych terapiach. Do tego wszystkiego poparzyła się wrzątkiem po całej nodze, był Covid, nie było jak jej hospitalizować – teraz nie ma po tym śladu.

Ostatnie kilka lat, to najpierw silna potrzeba modlitwy, rozmowy z Bogiem – żalenie się i błaganie o zmiany w życiu, o spełnienie mojej wizji tego, jak On powinien poukładać moje życie po stopniowe klócenie się z Bogiem i foch na niego.

Myślę też, że obecnie moja wiara jest przesycona sytuacją życiowo-domową ogromnego kryzysu i sytuacji przedrozwodowej. Stąd jest ona taka... dziwna.

Stąd też wiele przemyśleń że nie wiem co dalej, albo że coś nie układa się tak, jakbym chciał.

Podsumowanie mojej drogi religijnej: od zerowej wiary i braku wychowania w religii – do osoby, która, myślę, w miarę świadomie podchodzi do kwestii wiary.

Często obserwuję zachowanie księży, czy różnych osób tak zwanych bardzo religijnych, uchodzących za silnie wierzące i odrzuca mnie od Kościoła jako takiego. Dochodzę do wniosku, że, tak w gruncie rzeczy, to ważna jest wiara, a nie przeszkadzające w postaci ludzi, którzy są zawsze tylko ludźmi. Choć często sami uważają się za nieomylnych i bez winy.

**ANNA RUMOCKA**

LAT 41, MENEDŻERKA, WIEŚ

Gdybym miała alternatywę siebie samej, mogłabym założyć, że zanosiłabym modlitwę do Boga jedyne go wszystkich. Modliłabym się do Niego w ciszy, długo, łagodnie, ledwie szepcząc słowa. Klęczałabym w zimnym klasztorze i prosiłabym o spokój. Nawet nie musiałby być święty.

– Boże, daj mi spokój – modliłabym się. – Niech wokół mnie zapanuje harmonia. Niech w domu znikną kłótnie, przemoc i niepewność. Błagam Cię, zrobię, co zechcesz, tylko wysłuchaj mnie. Klęczę tutaj dla Ciebie. I proszę o pomoc.

Bolałyby mnie kolana od zimnej posadzki. Uznajmy, że to zimowy jeszcze marzec. Klasztor nie jest ogrzewany. Straszliwy chłód niemiłosiernie ciągnie od posadzki.

Mogłabym też przeproszać. Przeproszać za swoje grzechy. Przecież, ileż Bóg może dziennie słyszeć obietnic: zrobię, co zechcesz... Czy ma na to wszystko czas, na te obiecanki i zapewnienia. Tyle dzieci bożych o coś prosi. Dlaczego powinien wysłuchać właśnie mnie?

Będę zatem przeproszać, kto pierwszy ten lepszy. Oburzacie się. Za Wasze grzechy też będę przeproszać. Nie zapomnę o Was.

– Wybacz mi Boże! – głośno krzyknę w duszy.

A po chwili inaczej.

– Wybacz mi Panie... – już błagająco.

Potem prosiłabym Go słowami surowej modlitwy o karę i wybaczenie. W modlitwie do Boga wzywałabym też Matkę Bolesną! Przecież to jej serce zalewała krew. Ja skromna kobieta, poproszę tę Pannę Świętą i matkę Boga Jedyne go „Dozwól mi z sobą płakać!”.

W tej wersji alternatywnej modliłabym się i gdybym mogła, spędzałabym czas w tym zimnym klasztorze lub wielkim kościelnym gmachu.

Kątem oka widziałabym innych ludzi w beznadziejnych sytuacjach, takich, którzy liczą tylko na cud. Oprócz tych modlitw, prosiłabym Boga o jeszcze jedno:

– Boże niech Życie nie zabija Życia! Niech Życie pozwoli trwać Życiu.

A kim ja jestem?

Jestem Życiem do śmierci.

Tyle wiem. Aż tyle.

Później będę kompostem. Gdy rozłoży się lakierowane drewno trumny, oczywiście na wysoki połysk, przerobią mnie na pożywienie dla innych boskich stworzeń. Może nawet im się odbije. Chociaż nie, na cmentarzu nie wypada mieć takich złych manier.

I cóż Bóg powie na mój koniec? Taki zajęty magazynier dusz?

– Moje dziecko nic nie trwa wiecznie. Miejsce musi się zwalniać nawet w Raju.

– A co to ten cały Raj? – zapyta moja alternatywa.

– To taki magazyn wysokiego składowania. Muszę was gdzieś wszystkich upchnąć, prawda?

– To jest aż tylu dobrych? Tylu, którzy modlą się codziennie, przepraszają za grzechy, uczciwie żałują a jak proszą, to skromnie, po cichu, aby np. ojciec nie pił, mama w policzek całowała po przyjściu ze szkoły życia?

– Oj kobieto przecież na ziemi jest przeludnienie. Za dużo was jest, to i ja mam kłopoty w Raju, nieprawdaż? Co wam Huxley pisał? Ale nie, co tam intelektualiście wierzyć... A może jednak warto posłuchać?

– Czyli interes się kręci?

– No kręci się, a czemu miałyby się nie kręcić?

Ten dialog z Bogiem toczy się tak naprawdę w moich myślach. Myślach tej alternatywy, kłęzącej na zimnej posadzce. Wreszcie spoglądam na zegarek, trzeba się zbierać do szkoły życia, bo wpiszą mi spóźnienie lub nieobecność. A najgorsze to stracić czas dany Życiu na życie.

\*

Gdy tracimy wolę do modlitwy, wolę do proszenia o łaskę, szukamy przyczyny. Czy czas spędzony na

tym metafizycznym przeżyciu ma sens? Do kogo wnosimy błagania? Może to tylko moment potrzebny nam na skupienie? Na tę chwilę zamyślenia i gnębienia siebie? Przyciągania jeszcze większego żalu i bólu?

Życie, to, które mamy, jest trudne do zaakceptowania. W tragicznym świecie ciężko istnieć na własnych warunkach i zasadach, po prostu być i czerpać radość. A co dopiero na cudzych zasadach. Gdyby Bóg istniał dałby Tobie i mnie dobre życie?

Dziękuję Życiu, że trwam i czuję oraz nie daję odebrać sobie nadziei na dobry los. Życie ma każdy. Jesteś? Zatem żyjesz. Ale jaki jest Twój los banalny człowieku. A dokładnie Los. Przecież to jemu należy oddać hołd. To ja go kształtuję i Ty też. Moja banalność i Twoja. I te nasze marzenia i pragnienia...

Każde życie to kupowanie kota w worku. Nie sprawdzisz, nie spróbujesz, nie zobaczysz. Degustacja? Tylko w trakcie. Reklamacja? Nieprzewidziano. Poprawki, drugie podejścia? To pogłoski. Należy je zdemontować, gdyż nie można cofnąć czasu.

O co mogę prosić Życie? Proszę Cię, aby mój los nie był wyłącznie stratą. Moja modlitwa do Życia jest prosta:

Życie, proszę, niech trwa mój los.

Niech godzę się ze stratą, stałą towarzyszką Życia.

Niech mój los toczy się, mimo utraty zdrowia, czasu, pamięci.

Niech w moim życiowym Edenie ludzie będą porządni i wartościowi.

Niech ginie obłuda, zazdrość i cynizm.

Niech akceptuję moje miejsca.

Niech trwa moja nadzieja, że mam swój los.

Proszę o to, tak jak i Wy prosicie.

Można podpisać mnie imieniem i nazwiskiem. Niech nikt nie zarzuci mi braku odwagi do życia po świecie.

## BOGA

LAT 69, BIBLIOTEKARKA NA EMERYTURZE,  
WIEŚ

Jestem mocno przekonana, że Kościół katolicki to zorganizowana mafia, która ogłupiając wszystkich ludzi, wyłudza pieniądze w wyrachowany sposób.

Poglądy wygłaszane w kościołach, są skierowane przeciw mniejszościom. Kościół przez tysiąclecia dopuszczał się zbrodni pedofilii. Wiem o tym co się działo w sierocińcach, zakonach w rozmaitych środowiskach skupiających wiernych. Przez ostatnie lata pochłaniałam te wszystkie publikacje i narastał we mnie gniew, na całe swoje wcześniejsze przekonania.

Jeszcze do niedawna na pytanie „czemu nie chodzisz do kościoła”, odpowiadałam za „Colas Breugnon” Romaina Rollanda: „Ja idę w pole, tam sam Bóg celebrytuje”.

Dziś pozdejmowałam krzyżyki, różańce i inne symbole religijne w domu. Pozostał mi jeszcze łańcuszek na szyi. Nie wierzę w Boga i w te wszystkie bajki mu towarzyszące. Wiem, że nie doczekam się ukarania Kościoła za zbrodnie i zadośćuczynienia ofiarom. Rozdziału kościoła od państwa w Polsce. Rozliczenia zbrodni w Irlandii i w Kanadzie. Na wszystkich misjach. Pozostaje mi jedynie trwać w przekonaniu wewnętrznym, że wszystkie religie świata sięją ZŁO.

Nie wiem, czy moje przekonania są jakieś szczególne. Nie wyliczam publikacji, które przeczytałam, bo jestem święcie przekonana, że je Pan wszystkie zna. Jedną z nich to „27 śmierci Toby’ego Obeda” Joanny Gierak-Onoszko.

Ale nie żałuję, że odbyłam samotną pieszą pielgrzymkę do Santiago de Compostela, bo była to podróż w głąb siebie, rodzaj samotnej cudownej terapii. Bycie wśród wędrujących ludzi w ciszy i milczeniu. Tego się nie zapomina...

Ta moja pielgrzymka do Santiago de Compostela była rodzajem modlitwy/medytacji w intencji

mojego syna Rolanda. Roland cudowny, inteligentny chłopiec uzależnił się od narkotyków i żył, jak bezdomny na ulicach Holandii a teraz Londynu. Myślałam, że, jak podołam temu wyzwaniu pielgrzymki, poświęceniu, to przekażę mu swoją siłę. Pokona uzależnienie i powróci do normalnego życia. To było złudzenie. Przeszłam samotnie, bez znajomości praktycznie, żadnego języka 430 km. tak zwanym Camino Primitivo – najstarszym i najtrudniejszym szlakiem, prowadzącym z Oviedo do Santiago de Compostela. To był lipiec 2010 r., upały. Dziennie pokonywałam pieszo około dwudziestu kilometrów. Miałam pęcherze na stopach. Spałam w schroniskach dla pielgrzymów i dźwigałam dwunastokilogramowy plecak. Najwięcej ważyła woda. Większość pielgrzymów podąża samotnie lub we dwie, trzy osoby. Nawijają się cudowne relacje. Wzajemna pomoc w opatrywaniu ran. Raz tylko wzięłam udział w polowej mszy w górach odprawionej przez młodego księdza Polaka, który pielgrzymował z mamą i przyjaciółmi. Mniej więcej w połowie

wędrówki cierpienie ustąpiło euforii. Byłam szczęśliwa. Nade mną niebo, przede mną droga... Moje potrzeby i pragnienia zredukowane do minimum. Czasem tańczyłam do „Chwilo trwaj” Elżbiety Adamiak w słuchawkach. Często odmawiałam „Zdrowaś Mario” i „Ojcze Nasz”, samotnie w ciszy.

Mojej partnerce powiedziałam, żeby moje prochy rozsypała w ogrodzie. Nie chcę mieć pogrzebu i grobu.

Nie jestem wierzącą osobą. Nie chodzę do kościoła. Nie praktykuję wiary katolickiej. Nie chcę mieć nic wspólnego z tą purpurową mafią.

Dziś już się nie modłę ale uwielbiam słuchać Lacrimosa Mozarta w wykonaniu chórów, Uwielbiam sonaty Bacha, arie w wykonaniu Jakuba Józefa Orlińskiego a wszystkie te utwory były pisane z głębokiego religijnego uniesienia. Daję się temu unieść.

**G. CH.**

LAT 44, WYKŁADOWCA, DUŻE MIASTO

Modlitwa to pragnienie duszy. Od urodzenia towarzyszyła mi modlitwa. Jako pierwsza – ta dziecięca. „Aniele Boży, stróżu mój...”, potem „Ojcze Nasz” i „Zdrowaś...”. Przez kolejne lata wprowadzany był przez rodziców i siostrę zakonną na lekcjach religii w kolejne modlitwy. Próbowałem wejść w głębszą medytację poprzez koronkę, czy różaniec. Jednak te dłuższe formy sprawiały, że miałem coraz większe poczucie mechanicznego powtarzania czegoś, a nie łączenia się z Absolutem. Przecież jak rozmawiamy z kimś, to gdy ktoś powtarza w kółko to samo, budzi to w nas irytację. A jeśli jesteśmy stworzeni przez Boga na Jego podobieństwo to czy przypadkiem nie irytuje Go ta nasza powtarzalność?

Chodziłem na lekcje religii. Lubiłem słuchać o różnych sprawach, ale to nadal nie było to czego szukałem. Przeżyłem rozczarowanie, gdy przyjąłem sakrament bierzmowania. Nie spłynął na mnie Duch Święty, jak to opisują ewangeliści, gdy na nich zstąpił. Nie poczułem żadnej zmiany w sposób namacalny, empiryczny. Nic. Zrozumiałem wtedy, że modlitwa to nie oczekiwanie na cud, ale sposób budowania harmonii. Zgodności własnych pragnień z rytmem życia. To szukanie wsparcia w codzienności. Ale bez oczekiwania na gotowy i końcowy wynik w krótkim czasie. To raczej rodzaj takiej autopsychoterapii. Takiej, w której nazywamy przed samym sobą, co w naszym życiu dzieje się źle i to czego pragniemy... A może wcale nie to?

Po epoce poszukiwań, w nabożeństwach i na pielgrzymkach, odkryłem modlitwę ciszy. Najpiękniejszej modlitwy doświadczam w ciszy.

#### CISZA I

Gotycka cisza. Gdy wchodzę do dużego, gotyckiego kościoła i siadam lub klękam, to nie muszę nic mówić. Po jakiejś chwili czuję się tak, jakbym zagłębiał się w tajemnicę. Kościoły późniejszych epok z freskami, ozdobami mają tę wadę, że mimowolnie przyciągają swoją uwagę i odwracają od celu w jakim się przychodzi. Najlepszy przykład? Gwarna każdego dnia Kaplica Sykstyńska czy Kościół Il Gesu w Rzymie. Tam nie ma ducha. Jest piękno i zachwył nad zdolnościami człowieka.

Na koniec spotkania podczas tej ciszy wracam do modlitwy, którą zostawił Jezus. A potem rozmawiam z Nim chwilę mówiąc za co jestem wdzięczny, czego żałuję i o co proszę. Jak do przyjaciela, który się nie obrazi, gdy mam pretensje o to, co w życiu nie wychodzi i że nie jest tak jakbym chciał. Z boku wygląda pewnie to jakbym sam ze sobą rozmawiał. Ale w głowie zaczyna się wszystko wtedy układać. Wychodzą takiego pustego kościoła, czuję się jak po sesji terapeutycznej u najlepszego psychiatry. A coś o tym wiem.

#### CISZA II

Podobnego stanu doświadczam, gdy jestem sam na sam z wysokimi górami albo nad brzegiem szumiącego morza. Gdy nie ma mnie, a jest tylko człowiek – część spektaklu natury. Albo nieśmiały uczestnik tego spektaklu. Czasem mimowolnie składają mi się ręce jak do modlitwy i wraz z wyuczonymi w dzieciństwie słowami pacierza lub psalmami łączę ten zachwył. Czasem też po cichu śpiewam...

#### CISZA III

Uwielbiam ciszę na cmentarzu. Uwielbiam zapach zniczy i modlitwę nad grobem dziadków. To nie jest zwykła modlitwa. Zawsze przychodząc do nich, witam się tak jak wtedy, gdy żyli. Potem chwila zadumy. Zapalam znicze i paląc świece, modłę się za ich dusze. A gdy to zakończę, opowiadam znów im co się od ostatniej wizyty wydarzyło. Czasem mija miesiąc, czasem pół roku. Ale to moja modlitwa – spotkanie z nimi. Nasz czas, gdy myślę o nich, ale też proszę, by pamiętali gdzieś tam o mnie. I wtedy czuję

z nimi jakąś jedność. Na koniec podchodzę do ich grobu i głaszczę tak, jak głąskałem babcię po policzku w ostatnich tygodniach jej życia... To obowiązkowy element tej modlitwy.

#### CISZA IV

W ciszy czytam czasem Biblię. Ona jest pełna różnych inspiracji do życia. Słabość pokonuje siłę, mądrość pokonuje wielkość. To modlitwa, która wyzwala nieprzebrane możliwości poszukiwania dobrych rad do życia. Jest na tyle wielowarstwowa, że każdego dnia to samo zdanie można odczytać inaczej. Może stać się inspiracją dla biznesmena i dać ostatnią deskę ratunku zagubionemu w życiu.

#### CISZA V

Cisza jest też wtedy, gdy biorę do ręki kubek. Po Ani, mojej przyjaciółce. Wszyscy ją uwielbiali. W ciągu pół roku zabrał ją nowotwór. A mnie dzień po pogrzebie przyniosła ten kubek nasza wspólna koleżanka z zespołu: „Masz, to dla Ciebie.

Od niej”... Duży, biały kubek z granatowym uchwytem. Jego część jest pokryta drobnymi kwiatami, są też na nim dwa duże motyle. Więc gdy mam wolną chwilę w tygodniu, zaparzam herbatę z taką nabożnością jak widzi się to w filmach o Japonii. Gdy już się skończy ten proceder, sączę ją powoli w ciszy, oddając się w myślach wspomnieniami o niej. Przy okazji kieruję pewne dobre myśli do Boga – za nią. Właścicielka tego kubka sama była bardzo pobożną osobą. Samotnie wychowującą dzieci, kobietą po przejściach. A ja staram się pielęgnować myśli o niej: łączę przedmiot, który do niej należał, z modlitwą. Motyle... W czasie pogrzebu Ani, mimo tłumy ludzi przeleciał nad głową moją żółty motylek a potem na chwilę przysiadł na murku cmentarza. Niektórzy wierzą, że motyle to nasze dusze. Więc ten rytuał picia herbaty łączy tę duszę, wspomnienie o konkretnej osobie, modlitwę i wraz z każdym łykiem płynie do żył...

Ale to nie jedyna modlitwa z nią związana. Kwiaty... Trzy tygodnie temu okazało się, że po Ani

zostało kilka roślin. Zgłosiłem się, że chcę jedną z nich. Dostałem kłującą, lekko uschniętą pnącą różę. Odtąd podlewam i pielęgnuję ją, staram się o nią jak najlepiej. Nazwałem ją na cześć właścicielki: Anulka. I gdy tak stoi na niewielkim balkonie, u mnie w wynajętym mieszkaniu, wychodzę do niej, zagadam czasem. To taka moja pamięć-modlitwa o niej i dla niej. Nadal dbam o tę przyjacią i z nabożeństwem podchodzę do tych chwil. Wczoraj odkryłem, że róża ma dwa pąki. Oby nie zmarły teraz przy wiosennych przymrozkach. Taka moja modlitwa nad niedokończoną przyjaźnią, nad niedokończonymi rozmowami urwanymi w smsach wysyłanych ze szpitala. Ostatni jej wpis na pytanie o samopoczucie: „Troszkę lepiej Grzesiu, dziękuję”. Mam nadzieję, że teraz już jest naprawdę jej lepiej. W niebie lub gdziekolwiek nasza dusza się przenosi. W dniu pogrzebu miałyby dopiero 40 lat. Zostawiam to „czy”, „czemu”, „dlaczego”. Rozmawiam z Bogiem, co dała jej śmierć. I za każdym razem przychodzą do głowy różne odpowiedzi...

Mam jeszcze inny nurt modlitwy – zatopiony w muzyce. Są takie utwory, których słucham lub wykonuję, które stają się modlitwą. Niektóre w przenośni, a niektóre w rzeczywistości. Coś w sobie mają niektóre pieśni kościelne, które chwytają ze serce. Swój niepowtarzalny urok mają kanony z Taize. Coraz częściej pojawiają się też nowi muzycy w nurcie muzyki religijnej, którzy odchodzą od tradycyjnej formy, a zbliżają się do współczesnych środków przekazu. Już nie trzeba zawodzić albo spłycać treści. Lubię bardzo zespoły gospelowe. Niektóre z nich prowadzą warsztaty śpiewu. I wtedy stojąc w dużej grupie, wspólnie śpiewając na Jego cześć, czuję, jak przechodzi przez moje ciało coś, czego doświadcza się tylko w chwilach największego szczęścia. Niektórzy od tego się uzależniają i jeżdżą za takimi zespołami, by na nowo wciąż tego doświadczać. Po takich warsztatach człowiek jakby dostał doładowanie. Na tydzień, dwa. Nie tylko usta, nie tylko głowa, ale i serce, i ciało. Człowiek dostaje skrzydeł i czuje, że mimo największych trudności, jakie napotyka

w życiu, może jeszcze być mu dobrze. Może sam być dobry.

Co jakiś czas też wracam do prób tworzenia własnych kompozycji. Niektóre z nich mają charakter religijny. To też moja modlitwa. Wtedy wszystkie myśli koncentrują się wokół tego, jakie dobrać słowa, rymy, jaki dobrać charakter, melodię i wszystkie inne elementy. Niektóre z nich były wykonywane w kościołach albo na koncertach religijnych. Czasem dostaje wiadomości zwrotne, że ludzie w tych utworach coś znaleźli, coś ich dotknęło. I wtedy wiem, że to była ta chwila, gdy moja modlitwa w zaciszu domu przeniosła się na innych. To wtedy czuję, że to co było modlitwą serca stało się modlitwą innego serca.

Może jakiś fragment:

Jest tylko jedna droga co prowadzisz  
Nas ku światłości Twojej  
I kiedy Jesteś  
Wówczas wierzę  
Nie lękam się ani nie boję  
Wiem czasem zdarza mi się upaść

I ten upadek Jezu czujesz  
I wtedy bierzesz krzyż na barki  
Za mnie na nowo się krzyżujesz  
Więc pójdę drogą  
Tą do nieba  
Do Jeruzalem bram  
Ja poznam Cię po łamaniu chleba  
I już nie będę sam  
Tak wygląda moja modlitwa.

## NIKA

WIEK, JAK PODAJE: „W PEŁNYM ROZKWICIE  
KOBIECOŚCI”, TŁUMACZKA I ARTYSTKA,  
MIESZKANKA DUŻEGO MIASTA, KTÓRA  
OSTATNIO ZAMIESZKAŁA NA WSI

### 1.

Nie potrafię nazwać tej Istoty. Nie ma dla mnie imienia, ani postaci, nie wpisuje się w żadne schematy religijne, nie mieszka w żadnym kościele. Ale wiem, że JEST.

Czasem mówię o Niej: Siła Wyższa. Czasem po prostu czuję Jej obecność – niewidzialną, a jednak silniejszą niż cokolwiek na tym świecie. Ona nie ma twarzy z ikon ani tonów z ambony. Jest jak cisza, jak wiatr, jak dłoń położona na ramieniu, kiedy nie ma już nikogo innego, kto mógłby tę dłoń położyć.

Wierzę, że jest Kimś, kto ogarnia wszystko – sens, ból, miłość, przemijanie – i że Jej obecność nie zależy od tego, czy się modlę w słowach, czy tylko w odczuciach.

Nie modlę się do Boga konkretnej religii, chociaż kiedyś szukałam – jak wielu – miejsca, do którego można by przynależać. Przez długi czas próbowałam zmieścić się w doktrynach, zrozumieć reguły, zaufać wspólnocie. Ale coś zawsze zgrzytało. Dusza nie mieściła się w narzuconym formacie. Dzisiaj już wiem, że duchowość i religijność to nie to samo. Moja duchowość nie potrzebuje pośredników. Nie potrzebuje dogmatów. Jest jak rzeka – płynie, zakręca, czasem się rozlewa, ale zawsze niesie.

### 2.

O co się modlę? To nie są prośby o konkretne rzeczy. Rzadko zdarza mi się usiąść i powiedzieć: „proszę o to, tamto, chcę, żeby coś się zmieniło”. Bardziej – o przetrwanie, o siłę, o zrozumienie. O zachowanie światła w oczach, nawet jeśli wszystko wokół się wali. W momentach granicznych – gdy depresja przyniata, gdy nie widzę wyjścia – wtedy czuję, że Ktoś tam jest. Ktoś, kto wie, że już ledwo daję radę, kto nie mówi: „będzie dobrze”, tylko: „wytrwaj jeszcze

chwilę, proszę, za rogiem jest światło”. To poczucie, że nie jestem sama, że moje cierpienie jest widziane, że ma sens, choć teraz go nie rozumiem – to największy dar modlitwy.

### 3.

Są też modlitwy innego rodzaju – te codzienne, ciche, jak odruch. Kiedy zauważam kolor nieba, liść na ścieżce, ruch gałęzi. Kiedy w biegu dnia, między jednym obowiązkiem a drugim, zatrzymuję się na trzy sekundy, żeby poczuć zapach deszczu. To też jest modlitwa. Wpatrzenie się w przyrodę, w jej ruch, zmienność, rytm – to daje mi poczucie bycia częścią czegoś większego, niekontrolowanego, ale mądrego. Przyroda uczy mnie uważności. W niej najłatwiej mi „usłyszeć” Siłę Wyższą.

Innym razem modlę się tańcem. Albo pisanem. Kiedy tańczę, czuję, że moje ciało – mimo kontuzji, ograniczeń – przekracza siebie. Że staje się narzędziem, przez które coś większego się przejawia. Kiedy piszę, słowa układają się nie do końca ze mnie

– jakby przeze mnie coś płynęło, coś, co zna drogę. To nie ja tworzę. Ja tylko otwieram drzwi. Czasem ten akt tworzenia daje mi dreszcze – tak silnie czuję to połączenie. I wtedy wiem – to jest moja modlitwa. Nie recytowana. Przeżywana.

Są też takie momenty, które przychodzą niespodziewanie. W małej wiosce w Alpach – kompletnie sama – poczułam absolutne połączenie z tą Siłą. Poczucie, że jestem tam, gdzie trzeba, że wszystko ma sens, że nie jestem przypadkiem. Te chwile są rzadkie, ale wystarczają, żeby iść dalej.

Czasem modlitwa jest ciszą. Ciszą prawdziwą – bez hałasu świata, bez telefonów, bez wiadomości. Cisza to luksus, którego nie da się kupić. Ale gdy już się zdarzy – to jak wejście w inną rzeczywistość. Cisza mówi. A przynajmniej do mnie mówi. W niej też jestem blisko.

Najczęściej nie są to modlitwy słowne. Słowa przychodzą rzadko. Częściej czuję, że coś mnie „przenika”. Że w środku zapala się lampka – nie wiem skąd, nie wiem dlaczego, ale daje spokój. Wiem, że to, co

się dzieje, dzieje się po coś. Że nawet jeśli teraz boli, jeśli życie się sypie – to jest sens. Tyle że jeszcze go nie widać.

Czasem, w samotności, w chwilach artystycznej ekspresji, w głębokim zmęczeniu – modlitwa staje się tęsknotą. Za czymś, co kiedyś było – tą dziecięcą Nadzieją. Nadzieją mimo wszystko. Że będzie lepiej. Że to, co mnie dziś boli, jutro stanie się czymś, co pomogło mi urosnąć. Contra spem spero. Wbrew nadziei – wierzę.

Nie dzielę się tym zbyt często. Zbyt wielu ludzi zatrzymuje się na rytuałach, na powierzchni. Ja szukam głębi. Wiem już, że nie wszyscy chcą tam schodzić. I to jest w porządku. Moja modlitwa jest moja. Moja duchowość – też. Nie wymaga świadków.

Czy jestem osobą wierzącą? Tak. Wierzę w istnienie Sensu. W Siłę, która wie więcej niż ja. W Boskość, która objawia się w drobnych chwilach. Nie potrzebuję do tego religii. Wystarczy mi ten głos, który czasem mówi do mnie z głębi – „nie poddawaj się”.

## ROBERT RIENT

LAT 45, PRAKTYK SZAMANIZMU<sup>1</sup>

Nauczono mnie modlić się do ojca w niebie, tego który zabił prawie całą ludzkość w potopie, i prawie wszystkie zwierzęta, rośliny. Nauczono mnie, że ma się święcić imię tyrana. Miałem uraz do modlitwy, co rozumiałe. Minęły lata, bym odzyskał to słowo, rozpoznał czym modlitwa może być. Teraz łączy w sobie pieśń z ogniem, z tańcem, kręgiem, dziką naturą, a zatem rytuałem. Nie zamyka się w słowach lub przez słowa, nawet jeśli ze słów korzysta.

Zdrowa modlitwa jest dzika, swobodna. Zdrowa modlitwa to rytuał. Mówiąc o modlitwie mam na myśli staranie się. Próbę precyzyjnego określenia intencji. Wybieram ten dzień w swoim kalendarzu. To dzień rytuału. Zaczyna się od pobudki, chwili

gdy oczy spojrzą przed siebie. Często przychodzi wdzięczność, jest mała, lepka. Bo za jasno, bo kręgosłup boli. Ale i tu dobiega się wdzięczność, bo czuję, mam ciało. Nie dzieje się to naturalnie, wymaga porozumienia z umysłem.

Następne są stopy, bawię się czasami tak, że sprawdzam jak przywitają się z ziemią. Jak pięta i palce oprą się o ziemię. Oddaję więc te kilka sekund stopom, ciało decyduje, umysł tylko rozpoznaje. A więc jesteś tu, ziemio, przyciągasz i trzymasz. To początek rozmowy, przez ciało. Już wiem, że mogę iść przez ziemię tak, by popisywać się, wyrzucić wrażenie albo mogę stawiać stopy na ziemi. W tym pierwszym przypadku unoszę się nad ziemią, w sferze ludzkich koncepcji, opowieści. W tym drugim, stawiam stopy na ziemi ze świadomością, że ta żyje. Lubię chodzić bosy, po trawie, piasku, ziemi. Tylko w intymnej relacji mamy zgodę być dotykani bosymi stopami. Łączy mnie z ziemią intymna relacja, to jasne. Ona trzyma mnie przy życiu. Tu zaczyna się dla mnie modlitwa, od uznania tego, co trzyma mnie przy życiu.

Idę w rytuał tak: wyłączam telefon, mam pusto w żołądku. Ruszam w dzikie, do lasu, nad jezioro. Czas zwalnia. Szukam swojej intencji wypatrując znaków albo raczej nadając znaczenie temu, co już jest: chmura, kropla deszczu, kora drzewa, wiatr, motyl, złamana gałąź. Gdyby umiały mówić w moim języku co by powiedziały. A potem jeszcze tak: posłucham was ucząc się niemożliwego języka. To pomaga mi określić intencję, którą wypowiem w kręgu, podczas rytuału. Krąg buduję na uprzątniętej podłodze, zaznaczam osiem stron świata. Czasami, w nowym miejscu, pomaga kompas. Spędzam w kręgu wiele godzin, z dala od innych ludzi, opowieści, bycia online. Jest moje nagie ciało, jest osiem stron świata, określona intencja, czasami wdzięczność, czasami coś na kształt rozpaczliwej potrzeby. I ruszam w podróż, pomaga dźwięk bębna, pieśń. Wołam ducha.

Zakłęcie brzmi: „Bezforemne może przybrać formę”. A jeszcze inne: „Gdy kocham, utrzymuję przy życiu”. I można powiedzieć, że modłę się: bez słów, w tańcu, gdy ciało jest w transie, spocone. Taka

modlitwa jak kompost, gdy ziemia trawi resztki je-  
dzenia, rozkłada je. To właśnie dla mnie miejsce  
święte: kompost. W rytuale, modlitwie, również  
coś zostaje strawione, głosy które już nie są moje.  
I czekam na spotkanie, na wizję, na podpowiedź, na  
doznanie w ciele, które nazywają uchem ducha, albo  
kieszeńią dla ducha. W ducha wierzę. Ducha czło-  
wieka, kamienia, rzeki, lasu. Czekam na opiekuń-  
czego ducha i jeśli w słowach to modlę się jakoś tak:  
dziękuję. Moje modlitwy nie często są w słowach,  
ale gdy już są to najczęściej właśnie tak: „Dziękuję,  
dziękuję, dziękuję”.

Od 2022 roku i wielkiej katastrofy ekologicznej  
na rzece Odrze, modlę się o rzekę, o Odrę. Chcę by  
została uznana za osobę prawną, za podmiot, żywą  
istotę. Myślę, że rzeki najbardziej przypominają wody  
płodowe. I tak jak Ziemia, planeta, kojarzą mi się  
z rodzącą, z mamą. Modlę się więc o uznanie prawa  
rzeki do życia, swobodnego przepływu. Bo najbar-  
dziej jestem z wody.

- 1 **Robert Rient:** pisarz, praktyk szamanizmu, aktywista pokojowy, ini-  
cjator uznania rzeki Odry za osobę prawną i powołania Plemienia  
Odry. Prezes Fundacji Szamanizmu. Fundator i Przewodniczący rady  
Fundacji Osoba Odra. Członek Międzynarodowego Obserwatorium  
Praw Natury, Koalicji Ratujmy Rzeki, stowarzyszenia Unia Literac-  
ka. Autor książek „Pierwsza Umowa. Podstawy praktyki szamani-  
zmu”, „Wizje Roślin, czyli pięćdziesiąt roślin leczniczych i jeden grzyb”,  
„Przebłysk. Dookoła świata – dookoła siebie”, „Świadek”, „Chodziło  
o miłość” i powieści „Duchy Jeremiego” nominowanej do nagrody  
literackiej Nike. Dziennikarz niezależny podejmujący temat ochro-  
ny środowiska, kryzysu klimatycznego oraz terapeutycznych metod  
pracy z ciałem, emocjami i duchem. Prowadzi Szkołę Szamanizmu,  
Kursy Podstaw Praktyki Szamanizmu, ceremonie ITO – Intuicyjnego  
Tańca Opowieści oraz rytuały i ceremonie szamańskie. Autor podca-  
stu „Spokojna Miłość”. Na stałe współpracuje z magazynem „Sens”.  
Więcej na [www.robertrient.pl](http://www.robertrient.pl)

**MONIKA BROCKA**

LAT 52, NAUCZYCIELKA,

MAŁE MIASTO

Parę lat temu przeszłam z katolicyzmu na ewangelicyzm. Doświadczam teraz modlitwy głębiej. Często poprzez słowa z Pisma Świętego. Bliskie mi są słowa z Pierwszego listu św. Pawła do Koryntian: „Wszystko bowiem jest wasze (...) czy świat, czy życie, czy śmierć, czy teraźniejszość, czy przyszłość – wszystko wasze, wy natomiast Chrystusa, a Chrystus Boga”.

Lubię też modlić się, czytając, np. Leopolda Staffa: „A jesteś światłem w mej pomroczy,/ a jesteś śpiwem mojej duszy”.

Muszę powiedzieć, że jeszcze się z tego nikomu nie zwierzałam...

Modlitwa to chyba najbardziej intymna czynność. Nie potrafię się nią dzielić. Nie umiem modlić się

z kimś razem, w domu. Poza świątecznymi modlitwami przed posiłkiem i modlitwą przed snem, gdy moje dzieci były małe. Kiedyś moja modlitwa była jednostajna, modliłam się znanymi powszechnie modlitwami. Teraz potrafię wzbić się i wejść do środka swojej duszy. Lubię modlić się w samotności, w pustych miejscach, pustych kościołach, na łonie natury, ale bliskie jest mi też doświadczanie rozmów z Bogiem we wspólnocie wierzących.

Moje przejście do Kościoła Ewangelicko–Augsburskiego to złożony i trudny proces, który trwał dwa lata. Rozpoczął się poznawaniem innego wyznania i wieloma pytaniami. Powoli kiełkowała myśl o przejściu, by żyć w zgodzie z sobą, a jednocześnie będąc wierną wyznawanym cały czas wartościom. Spotkałam się z niesamowitą otwartością, mądrością ze strony duchownych z tamtego Kościoła i wiernych.

Bóg był zawsze w moim życiu ważny, choć Jego bliskość nie zawsze bywa odczuwalna. Były takie chwile, kiedy czułam, że Go nie ma, że po tamtej

stronie w ogóle niczego i nikogo nie ma. Wiązało się to po części z odejściem mojego Ojca.

Teraz im więcej się modłę, tym mocniej czuję obecność Boga.

Podczas nabożeństw w kościele ewangelickim, mówiąc kolokwialnie, bardziej się wymodłę i czuję wielką moc, pełnię i radość w sercu. Nie brzmi to trochę patetycznie? Ale tak właśnie jest. Wiązę się to z prostotą rytuałów i poczuciem, że w tym kościele każdy człowiek jest ważny.

Decyzja o konwersji była związana z tym, że u ewangelików nie ma przykazań kościelnych, brak kultu świętych, a komunię przyjmuje się pod dwiema postaciami. Akurat było i jest to dla mnie ważne. Dziwiło mnie, że w kościele katolickim przyjmuje się ją pod jedną postacią, a księża i szafarze otrzymują zawsze pod dwiema. Dla mnie jest to w pewnym sensie pokazanie, kim jest wierny, a kim jest kapłan. Wierny jest po prostu mniej ważny od kapłana. Niestety.

Powodem konwersji były także przemyślenia na temat spowiedzi.

Spowiedź w kościele katolickim zawsze wiązała się u mnie z głębokim przeżyciem. Było to spowodowane zarówno myślą o oczyszczeniu i poczuciem grzeszności, jak i bliskim kontaktem często z nieznanym mi człowiekiem. Z biegiem lat przyzwyczaiałam się, ale zazdrościłam tym, którzy robić tego nie muszą, bo przystępują do spowiedzi powszechnej. Ale wcale nie było łatwiej. Myślałam, że kwestia braku spowiedzi będzie dla mnie najprostszą: ja sama przed Bogiem i żadnego pośrednika. Wbrew moim oczekiwaniom, po przejściu na wyznanie ewangelicko – augsburskie, podczas spowiedzi powszechnej nie czułam oczyszczenia, odnowienia. Długo dochodziłam do poczucia, że moje grzechy są odpuszczone i do świadomości, że odpowiedzialność spoczywa tylko na mnie. Sama przed sobą i Bogiem przyznaję, co było nie takie jak być powinno.

Dziś, mogę powiedzieć, że czuję pewną radość, spokój w sercu. Być może to jest rodzaj oczyszczenia.

W tym kościele czuję się wolna, ale bardziej odpowiedzialna za siebie.

Lubię się modlić czytając Pismo św., zwłaszcza Księgę Psalmów, Hioba, czytając poezję, czasami są to całe wiersze, a czasami ich fragmenty. Zapisuję sobie cytaty, by móc do nich powrócić, znów się pomodlić tymi słowami. Poprzez poezję czuję bliskość Boga. Może dlatego, że sama piszę i wprowadza mnie to w stan głębokiej więzi z samą sobą.

Często modlę się słowami Justusa Delbrucka, niemieckiego prawnika, aresztowanego w 1940 roku po nieudanym zamachu na Hitlera:

„W otchłaniach, których żadne pocieszenie nie sięga, niech dosięgnie mnie Twoja wierność. W noc, w którą wiara wstępuje, niech twoja łaska nie odstępuje ode mnie. Kiedy nie mogę uchwycić się Twojej ręki, Ty chwyć moją w swoje ręce, przyjmij łaskawie moją duszę i doprowadź mnie do dobrego końca”.

Albo słowami Marcina Lutera:

„O Panie Jezu Chryste, Ty jesteś moją sprawiedliwością, a ja Twoim grzechem. Wziąłeś na siebie to co moje i dałeś mi to, co twoje. Wziąłeś na siebie to, czym nie byłeś i dałeś mi to, czym ja nie byłem”.

Gdy modlę się słowami innych, nie dodaję intencji. Intencje pojawiają się obok, wypowiedane przeze mnie później prostym językiem i z nieśmiałością.

Modlę się w chwilach ulotnych. Myśl tylko przebiega w mojej głowie, sercu. Kiedy myślę o moim Ojcu, który zmarł kilkanaście lat temu, dziękuję Bogu za jego obecność w moim życiu. Gdy wspominam jego wiarę we mnie, gdy zdawałam maturę albo gdy wywieszał flagę na balkonie, gdy ja i moje rodzeństwo zdawaliśmy maturę. Dziękuję też Bogu za to, że ojciec podsuwał mi ciekawe książki i chodził na manifestacje patriotyczne w czasach komuny.

Modlę się, gdy patrzę na moje dzieci, gdy płynam łodzią z moim mężem, kiedy widzę wschodzące słońce, słyszę ptaki o świcie lub widzę obraz, który mnie zachwyca (ostatnio obrazy Józefa Chełmońskiego) albo czytam wiersze Urszuli Kozioł. Kiedy spotykam znane osoby, które są dla mnie autorytetem i rozmawiam z nimi, jestem przepelniona wdzięcznością. Kiedy spotykam się z przyjaciółką, to wiem, że tam też jest Bóg. Wtedy nie ma we mnie górnolotnych

słów. Jest uczucie i poczucie bliskości Boga. To też modlitwa. Trudno to opisać... Nie chcę absolutnie, żeby to zabrzmiało patetycznie

Nie zawsze modlitwa daje odpowiedź. Czasami słyszę tę odpowiedź, a czasami powierzam po prostu wszystko co mnie dotyka, by móc iść dalej. Wtedy czuję pokój. Odpowiedź przychodzi później. Zdarza się, że po latach.

## **POLINA KUCZYNSKAJA**

32 LATA, REDAKTORKA NACZELNA CZASOPISMA,  
DUŻE MIASTO

Zacznę od początku.

Zanim ewakuowaliśmy się ze Sławutycza, byłam na sto procent pewna, że umrę. Szczerze uwierzyłam, że to koniec. Kiedy zbierałam rzeczy do toreb, nie do końca rozumiałam, po co to robię. Bo jak masz wsiąść do samochodu, wiedząc, że poprzedni został ostrzelany, a ludzie – rozstrzelani, to co robisz? Dla mnie było jasne – nie warto jechać.

To było chyba 26 marca. Czas wtedy nie istniał – ludzie mylili dni tygodnia, daty. Nie miało to znaczenia. Przez miesiąc słyszeliśmy wybuchy. Jeszcze nie wiedzieliśmy o Buczy, ale rozumieliśmy, czym jest okupacja: morderstwa, gwałty, tortury... Strzelali snajperzy. Nie wychodziliśmy z piwnicy w domu

moich rodziców. Było nas jedenaścioro – czworo małych dzieci. Przyjechałam tam z Kijowa z moją córką Aglą. Moja siostra z rodziną też do nas dołączyła. Myślałyśmy, że w Sławutyczu z rodzicami będzie bezpieczniej. Daliśmy też schronienie rodzinie mojej przyjaciółki.

Potem przyszła wiadomość, że i Sławutycz może być bombardowany. Ludzie panikowali. Jedni krzyčeli, że trzeba wyjeżdżać, bo nas zabiją, inni, że trzeba siedzieć cicho i jakoś to będzie. Ja nie krzyczałam. Byłam przerażona, milczałam.

Zaczęła się ewakuacja. Ja z Aglą i przyjaciółką ruszyłyśmy jako pierwsze, siostra miała jechać następnego dnia. Wieczorem, gdy się szykowałyśmy, podeszła do mnie i dała mi pieluszkę. – Weź, to pieluska, na której urodziłam troje dzieci. Szczęśliwa pieluska. Weź ją ze sobą. Wzięłam.

I nagle – krzyki, że już trzeba do samochodu. Piętnaście lat mieszkałam w Kijowie sama, a teraz byłam z powrotem u rodziców, w swoim dawnym pokoju. Patrzyłam na ściany, myślałam o tym, że tutaj byłam

nastolatką i to głupie, że teraz już skończy się moje życie.

I wtedy – jakby znikąd – pojawiła się myśl: „Jeśli to jest koniec, to chcę jeszcze coś powiedzieć. Jeszcze coś wynegocjować.”

W tym całym chaosie zaczęłam z kimś rozmawiać. Nie z sobą samą, nie z własnym lękiem – z czymś, co nazwałam partnerem do rozmowy.

Modlitwa? To takie dziwne doświadczenie dla mnie było. Co to było – nie wiem, bo jestem z rodziny ateistycznej. Moja córka nie jest ochrzczona, ja sama jestem poza jakimkolwiek dyskursem religijnym.

Targowałam się: „Daj mi jeszcze szansę. Pozwól mi żyć, a ja się zgodzę na wszystko. Nie muszę mieć kariery, nie muszę mieć partnera. Chcę tylko przeżyć.”

To było bezczelne. Nie wierzę w Boga, ale wtedy – negocjowałam z nim, jakby był realną osobą. To była moja ostatnia deska ratunku. Targowałam się z tym Bogiem, bo nie miałam innego wyjścia. To nie była żadna modlitwa. To był deal.

Wcześniej miałam dużo ambicji. Jestem wymagająca wobec siebie i innych. A wtedy – chciałam się wycofać ze wszystkiego, byle tylko moja córka przeżyła. I ja z nią.

Kiedy zaczęła się ewakuacja – było strasznie. Tam, gdzie zbierały się kolumny samochodów, chodził batiuszka, błogosławił ludzi, modlił się.

Po miesiącu blokad wiedzieliśmy już, że dziesięć samochodów – to najlepsza liczba. Mniej – to ryzyko ostrzału. Na samochodach wiązaliśmy białe flagi.

I... przegapiliśmy moment startu kolumny. Ruszyliśmy sami. Ja z córką, rodzice mojej koleżanki z klasy i mama innej koleżanki – jednym autem. Wiedziałam, że to głupie. Że za chwilę będzie rosyjski blokpost. Córka siedziała mi na kolanach. Nagle zaczęłam płakać. Inne kobiety w samochodzie – jedna miała ikonę – modliły się histerycznie. A ja po prostu płakałam. Dookoła były walki. Pamiętam zaminiowany las, przez który przejeżdżaliśmy.

Na rękach napisaliśmy grupy krwi i numery telefonów. Córeczce napisałam grupę krwi na brzuchu

– na wypadek, gdybym zginęła, a ją ktoś znalazł ranną. W kieszeni miała karteczkę z numerami do różnych osób z rodziny.

W Warszawie jestem już trzy lata. Chciałamjechać do Niemiec, ale tu jest fajnie. Z pierwszego miesiąca nie pamiętam nic. Ktoś dał nam mieszkanie na trzy miesiące za darmo. Od zera doszłam do posady redaktorki naczelnej. Może dopiero rok temu zaczęłam coś planować, kupiłam sobie coś do mieszkania. Bo kiedy żyjesz tymczasowo – nie kupujesz kubeczków. Bo po co? To przecież nie twoje. Nie wiesz, jak długo zostaniesz. Ale zauważyłam, że wmieszkałam się. Nie wiem, czy takie słowo istnieje – ale właśnie tak to czuję. Wmieszkałam się w Warszawę.

Niedawno byłam w Ukrainie. W swoim mieszkaniu, na swoim osiedlu, w ulubionej kawiarni, ale jakby już nie mojej... To było jak przyjazd na cmentarz. Na grób dawnego życia.

Co z tego wszystkiego wyniosłam dla siebie? Doszłam do wniosku, że nawet ateista ma w sobie jakąś

kroplę nadziei. Nawet jeśli nie wierzysz w Boga – coś może cię uratować.

Szczerze? Tylko w komfortowych warunkach jesteśmy ateistami. Możemy sobie na to pozwolić, bo żyjemy w komforcie. Może dlatego kiedyś ludzie byli bardziej wierzący – bo czasy były brutalniejsze i mniej rzeczy można było kontrolować?

A ja – kiedy już niczego nie kontrolowałam – miałam rozmowę z czymś. Już nie miałam wyboru, więc musiałam polegać na czymś z zewnątrz.

Wiesz co, napisz wielką literą – na Czymś.

Popatrz, jak przez te ostatnie trzy lata od tamtych wydarzeń stałam się elastyczna.

I ta myśl, że przeżyłam – chociaż nie musiałam – to jest mój as. As, który bije wszystkie inne problemy. Nic nie jest problemem.

## **KRZYSZTOF TROSCZYŃSKI**

LAT 52, GRAFIK DTP,

MAŁE MIASTO

Pozwolę sobie podzielić się tą najważniejszą modlitwą, jaką w życiu odmówiłem – dwustronną. Modłę się tak „dwustronnie” już od 32 lat.

Każdy z nas ma taki szczególny dzień, moment lub okres, który w jakiś sposób zdefiniował resztę jego życia. Coś co moglibyśmy nazwać kamieniem milowym, punktem w którym zmieniliśmy kierunek na mapie życia lub nabraliśmy wiatru w żagle. W moim przypadku to był dzień w którym moje życie zaczęło się niejako po raz drugi. Dzień w którym usłyszałem to, na co od urodzenia czekałem.

Spotkanie z przeznaczeniem, zdecydowanie tak mógłbym je nazwać.

Był maj roku 1993. Siedziałem jak zwykle marnowałem czas w swoim pokoju – piłem piwo i paliłem papierosy. Z magnetofonu leciała moja ulubiona industrialna muzyka, a obok leżała „biblia” mojej młodości, czyli czasopismo „Tylko Rock”, którego numery niczym księgę objawioną namiętnie i z pasją pochłaniałem.

Było też coś jeszcze, desperacja, niepokój, napięcie. I wtedy na zadane pytanie usłyszałem odpowiedź.

Ale po kolei.

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce... a nie, to nie ta historia.

Urodziłem się w Małkini, w lipcu... hmm, to też nie ta historia.

Otarłem się o śmierć gdy miałem 20 lat... o tak, to właściwy wątek.

Mniej więcej od czternastego roku życia walczyłem z depresją, niekiedy tak gęstą że mógłbym ją nożem kroić. Od kiedy pamiętam, jako dziecko zawsze miałem stany depresyjne. Nasiliły się jeszcze bardziej, gdy zacząłem wkraczać w okres bardziej świadomego

myślenia o życiu zwanego dorastaniem. Adrian Mole próbował czarnymi mazakami zamalować tapetę w swoim pokoju. Ja robiłem codziennie to samo, tylko że w swojej głowie. Jak mawiają poeci, depresja była moim chlebem powszednim. Był to ciemny chleb, wręcz mroczny. Wtedy myślałem, że mam coś z głową. Dziś wiem, że była to demoniczna opresja. Bardzo silna demoniczna opresja.

Normalny człowiek gdy budzi się rano – i nie musi iść do pracy – myśli o czymś przyjemnym. „Wstanę i zrobię sobie wypasione śniadanie”; albo „wstanę i przeczytam poranną prasę”; albo „wstanę i pobawię się z dziećmi”; albo „wstanę i przejadę się rowerem po okolicy”; albo „wstanę i pójdę znowu spać”; albo – ... [wpisz cokolwiek innego przychodzi ci na myśl]. Ja wstawałem rano i myślałem o najlepszym sposobie by skończyć z własnym życiem. Nawet nie zdajesz sobie sprawy jaki ból psychiczny sprawiało mi otwieranie rano oczu. Bywały takie dni kiedy po przebudzeniu samoczynnie zaczynałem płakać. Ból istnie-  
nia zdawał się nie do zniesienia.

Nadzieja, to prawdziwy skarb. Jej brak doprowadza do obłądki. Gdy nie masz nadziei, pozostaje ci czarna pustka i pragnienie żeby czym prędzej zakończyć ból zwany życiem. Nadzieja to towar luksusowy. Mnie jednak na niego nie było wtedy stać, lub... po prostu nie miałem pojęcia gdzie go szukać.

Pierwsza próba samobójcza przeszła gładko. Głupi, myślałem że pomieszczenie różnych dziwnych tabletek dokona zniszczenia w moim organizmie. Obudziłem się rano z bólem brzucha i tyle. Zostawiłem jednak list pożegnalny i moja mama się bardzo tym przejęła. Było mi jej żal, ale żadna siła (ludzka) nie mogła mnie zmusić do życia, więc postanowiłem, że następnym razem podejść bardziej profesjonalnie do tematu. Podciąłem sobie żyły, znów (na szczęście) mało umiejętnie. Obudziłem się z zabandażowanymi rękoma i nafaszerowany jakimś prochami. Nie no, to już wstrząsnęło wszystkimi, niemal całą rodziną, nawet (o dziwo!) moim tatą. Na mnie jednak nie zrobiło to wrażenia. Byłem na siebie zły, bardzo zły, że znów tak amatorsko podszedłem do tematu.

Postanowiłem więc, że trzecie podejście będzie ostateczne i zaplanowane w szczegółach.

Miałem przygotowaną odpowiednią metodę ostatecznego samounicestwienia. Miałem wybrane idealne miejsce, wszystkie rekwizyty były gotowe. Stało się jednak coś dziwnego, niebywałego. Zapraǳnęłem żyć! Ot tak, nagle, ni stąd ni zowąd, gdzieś w moim wnętrzu pojawiło się to dziwne, obce mi pragnienie. Szok i niedowierzanie, pierwszy raz od wielu, wielu lat zapraǳnęłem żyć. Tak jakby jakaś ukryta iskra życia z głębokiego dna mojej duszy wydobyła się gdzieś na powierzchnie i dyskretnie pukała by jej otworzyć.

Przeplakałem długie dni w moim pokoju. Toczyłem niewidzialną wojnę pomiędzy pragnieniem życia, a totalnym mrokiem mojej duszy, z którego sączyła się samobójcza trucizna. Ktoś, kto nie przeszedł podobnego doświadczenia, nie zrozumie w pełni stanu czarnej rozpaczki, gdy nie ma już nic, żadnej radości, żadnej ekscytacji, żadnego życia. Pojawiła się jednak ta jedna mała iskra.

Którejś nocy przyszedłem do domu z imprezy standardowo pijany, ukląknąłem przy moim łóżku i w szamkach rozpaczy zawołałem do Boga. Nie wierzyłem w jego istnienie, choć w sumie nie tak do końca. Nie byłem pewny, ale chciałem wierzyć, choćby po to by móc kogoś oskarżyć za mój stan. Fakt istnienia Boga potrzebny mi był wyłącznie do obarczenia kogoś winą za moje nieudane życie, za niedoskonały świat, za ból istnienia. Było więc wygodne domniemywać, że ktoś taki jak Bóg gdzieś tam istnieje i tego kogoś nienawidzić „z całego serca, z całej duszy, ze wszystkich sił”.

I tamtej nocy zawołałem tego Boga, którego nienawidziłem. Pamiętam słowa: „Boże, wiesz że cię nienawidzę, nie ma jednak nikogo do kogo mógłbym się zwrócić po pomoc. Jeżeli więc istniejesz i chcesz mi pomóc, to proszę daj mi jakiś znak bym mógł uwierzyć, że istniejesz i, że ci na mnie zależy”.

Następnego ranka obudziłem się chyba po raz pierwszy w życiu z dyskretnym poczuciem nadziei. Ta iskra która wydobyła się gdzieś z dna

mojego serca, zaczęła świecić tak jakby bardziej na powierzchni.

Dni jednak mijały, a moje demony zaczęły przypominać o sobie.

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Bliskie spotkanie trzeciego stopnia.

Rano zadzwoniła moja mama: w pobliskim kolejowym hotelu pracowniczym znalazła się jakaś starsza pani, która mówi wyłącznie po angielsku i nikt nie może się z nią dogadać. Spytała, czy nie zechciałbym przyjść z nią porozmawiać. Tryliard wymówek przeszedł mi przez głowę i wtedy nagle, ku własnemu zdziwieniu wypaliłem „OK, przyjdę.”

Moim oczom ukazała się osiemdziesięcioletnia staruszka, która miała więcej energii życiowej, niż ja sam sklonowany dwukrotnie. Coś w niej było, jakieś dziwne światło, energia i błogi pokój.

– Kim jesteś i co cię tutaj sprowadza? – spytałem mniej więcej, cedząc pokracznie angielskie słowa.

Jej odpowiedź przekonała mnie, że kobieta najpewniej jest niepoczytalna.

– Jestem misjonarką. Modliłam się w swoim domu w Teksasie w USA i Bóg powiedział mi, że mam lecieć do Berlina.

OK, ale gdzie Rzym a gdzie Krym, pomyślałem, tzn. co ma Berlin do Pruszkowa? Dalej dowiedziałem się jednak, że tam w tym Berlinie ktoś skierował ją na dworzec kolejowy, gdzie w wyniku jakiegoś strajku kolejarzy, jedyny pociąg który kursował, był tym jadącym do mojego miasteczka. Kobieta uznała to więc za boży znak oraz zrządzenie opatrności i tak oto dotarła aż do mnie. I uznała to to za cel swojej wizyty!

Łał, a sądziłem że to ja jestem wariatem i słyszę głosy – pomyślałem.

Upierała się, że jest misjonarką i że chce nauczać Biblii mnie i moich przyjaciół. Pomyślałem, że iście ekscentryczny to pomysł i gdyby oferowała moim kumplom przy tym darmowe napoje alkoholowe, to kto wie, może by przez chwilę jej posłuchali. Inaczej nie przejdzie.

Wraz z pewną miłą panią tłumaczką zawieźliśmy więc babcię do księdza. Bo gdzie indziej można

zawieźć staruszkę mówiącą wciąż o Bogu? On, krótko mówiąc, kazał się nam wypchać. Na odchodne spytałem jeszcze, czy jest tu gdzieś w pobliżu jakaś wspólnota protestancka, gdyż nasza bohaterka ostatecznie uświadomiła nas, że jest właśnie tej opcji wyznaniowej. Chcąc się nas najwyraźniej pozbyć, ksiądz skierował nas do takowej i – o dziwo – było to w naszym mieście. Tam przyjęto nas z otwartymi ramionami. Okazało się nawet, że i ona, i oni są nurtu zielonoświątkowego, lepiej więc trafić nie mogła. Suma summarum kobita trafiła do swoich, a ja zobowiązałem się przez kilka dni odwiedzać ją i robić za tłumacza.

Zachciało mi się od tego wszystkiego żyć bardziej. Iskra jak gdyby się rozmnożyła...

Babcia misjonarka wyjechała, a ja znowu zmagam się z myślami czarnymi i wstrętnymi niczym muchy na śmietniku. I wtedy któregoś dnia, jak zwykle pijąc piwo i paląc szlugi, postanowiłem odezwać się znów do Boga. No tak, bo przecież zadałem mu kiedyś pytanie.

– Hej, Boże, jeżeli tam jesteś, to co z moim znakiem? Prosiłem cię o znak. Pamiętasz?

I wtedy nastąpiło coś co na zawsze i nieodwracalnie zmieniło moje życie.

USŁYSZAŁEM! S Ł O W A !!!

– A myślisz że do kogo ona przyjechała?

Fajka aż wypadła mi z ust. Nie mogłem w to uwierzyć. A jednak słyszałem to wyraźnie. Nie, to nie był „fizyczny” dźwięk, jakby ktoś darł się z sąsiedniego pokoju. To było coś więcej! Znacznie więcej, znacznie, znacznie, znacznie, znacznie więcej. To nie mogło być przesłyszenie, ani moja wyobraźnia. Ten głos przeszył niemal każdą komórkę mojego ciała. Dobiegał zewsząd. Miałem wrażenie, że był wewnątrz mnie a jakby wszędzie. Nie da się wystarczająco jasno i precyzyjnie opisać tego doświadczenia komuś, kto nigdy go nie przeżył. To jak opisywać wschód słońca ślepemu od urodzenia.

Ten Głos mnie załatwił na AMEN!

Później w wyniku różnych wydarzeń trafiłem do małej, szalonej chrześcijańskiej wspólnoty

protestanckiej, tego samego nurtu zielonoświątkowego co Mildred Brake Wilkison – babcia z Ameryki, która miała wiarę i pragnienie by się modlić, usłyszeć Boga, być mu posłuszną i przelecieć świat w celu ratowania pewnego chłopaka z Polski, który desperacko szukał nadziei. Co ciekawe, zupełnie nie pamiętałem, że na jedynym zdjęciu które mi wtedy podarowała widnieją słowa „Door of Hope” (drzwi nadziei). Taką nazwę wybrała dla swojej misji, posługi.

\*

Zadałem panu Krzysztofowi jeszcze kilka pytań. Na odpowiedź kazał mi trochę czekać, ale napisał:

„Przepraszam najmocniej, Panie Mariuszu za opieszałość. Zacząłem odpowiadać na Pana pytania już po samym ich przeczytaniu, utknąłem jednak w banalnej prozie życia (nagła opieka nad chorymi rodzicami). Ciężko pisać, gdy codziennie od rana do nocy załatwiasz tysiące spraw. Obiecuję, że dziś dokończę i podeślę, a póki co, może mały wstęp:

Nazajutrz miał być radosny dzień. Wyprasowałem koszulę, przygotowałem wyjściowy garnitur, wybrałem reprezentacyjny krawat. Wszystko czekało na jutrzejsze spotkanie. Położyłem się spać w dobrym nastroju, pełen ekscytacji i dość szybko nawet zasnąłem. W środku nocy ktoś nagle obudził mnie mocnym potrząśnięciem, każąc natychmiast wstać i udać się do drzwi. Zdawało mi się, że mówił o drzwiach ewakuacyjnych, skąd jednak do licha w mojej rzeczywistości się znalazły drzwi ewakuacyjne? Następne wydarzenia potoczyły się w ekspresowym tempie. Ktoś wręczył mi spadochron, ktoś inny wypchnął na zewnątrz. Przez jakiś czas bezradnie spadałem, nie wiedząc, czy zaraz nie zderzę się z ziemią. Spadochron w pewnym momencie sam się otworzył, wylądowałem na ziemi, grupa osób zbliżyła się do mnie informując, że właśnie znalazłem się na linii frontu i wręczając broń, oznajmiła, że czas zacząć walczyć, innego wyjścia nie ma.

Uff, chciałem obudzić się zlanym zimnym potem i zawołać „cóż to za chory sen?” Nie, to powyższe to

nie był jednak sen, ani bynajmniej też nie opis rzeczywistości. Sam też nie zwariowałem. Powyższe to koloryzowana parafraza mojej obecnej rzeczywistości i emocji które mi towarzyszyły.

Przez następne tygodnie towarzyszyli mi też psychiatrzy, kardiochirurdzy, pomoc społeczna...

Jak to się stało?

Przez ostatnie lata wciąż odrzucałem w swej głowie myśl. Brzmiała: kiedyś będziesz musiał zaopiekować się swoimi rodzicami. Ale przecież moi rodzice, choć w podeszłym wieku, sobie świetnie radzą. Latają samolotami, ogarniają lekarzy i wypisują nawet komentarze na Facebooku. Starość jednak potrafi zaskoczyć znienacka.

Czasami słyszę, że starość się Panu Bogu nie udało. W sumie to tak jakby powiedzieć, że nam się nie za bardzo udaje człowieczeństwo. Wystarczy być przecież ludzkim, ot co. Nie zawsze jednak potrafimy, choć to proste i czasami zamieniamy się w bestię.

W kwestii starości wierzący lubią pocieszać się wersetami Pisma Świętego, jak choćby ten z Psalmu 103,

gdzie Psalmista pisze: „On nasycy dobrem życie twoje,/ Tak iż odnawia się jak u orła młodość twoja”. Innymi słowy, jest w Bogu niby coś takiego, co powoduje, że nawet staruszek chce tańczyć. A mówią, że starość nie radość. Phi, karzełkie gadanie. Jasne, że każdy staruszek chce tańczyć, a zwłaszcza każda staruszka...

Gdy w swoich rozważaniach Psalmów dotarłem do 71., wydawał mi się jednym z wielu. Jak się w niego wczytasz, to okaże się intrygujący, ale czy wyróżniający, zwłaszcza dla pięćdziesięciolatka? Później z żoną wyruszyliśmy na święta do moich rodziców, 500 km od naszego miejsca zamieszkania. Z drogi zadzwoniliśmy do mamy, że będziemy ok. osiemnastej i zabierzemy ją na ostatnie przedświąteczne zakupy. W słuchawce usłyszałem „Tak, przyjeżdżajcie, będę gotowa”. Gdy dotarliśmy na miejsce trzy godziny później, mój tato, który sam ma wyraźne początki demencji, oznajmił nam, że mama wyszła z domu i zginęła. Byłem w szoku „Jak to zginęła?”. Może mu się coś pomieszało? Przeszukałem całe mieszkanie. Mamy faktycznie nigdzie nie było. Nie było także jej rzeczy.

Za jakiś czas okazało się, że znaleziono ją zdeorientowaną kilkaset metrów od domu. Przewróciła się i nie wiedziała gdzie jest. Karetka odwiozła ją na SOR do innego miasta. Święta, które miały być po raz pierwszy od lat spędzone z moimi rodzicami, spędziliśmy jeżdżąc między szpitalami w odległym mieście wojewódzkim. Tydzień później mój tato wyładował w szpitalu na operacji serca. Tak, starość to nie zawsze jest taniec.

Psalm 71 to modlitwa o dobrą starość. Całość opowiada o pewnej przebytej drodze życiowej. Pewny siebie śmiałek nagle widzi, że siły już nie te, ale wyzwania takie same. W biblijnych czasach starość zaczynała się mniej więcej w wieku w którym teraz jestem. Czy czas już się zatem modlić o dobrą starość?

„Ty bowiem jesteś moją nadzieją, Panie BOŻE, moją ufnością od młodości.

Ty byłeś moją podporą od narodzin, ty mnie wyprowadziłeś z łona mojej matki” (Psalm 71:5-6 (UBG):

„Nie odrzucaj mnie w czasie starości; gdy ustanie moja siła, nie opuszczaj mnie. (...). Także i w starości, gdy będę już siwy, nie opuszczaj mnie, Boże”  
(Psalm 71:9,18 UBG)

\*

1) Jak dziś wygląda Pana modlitwa? Czy jest to bardziej rozmowa, cisza, wołanie, uwielbienie?

– Tak, moja modlitwa zmieniła się na przestrzeni lat i to bardzo. Może zacznę od tego, że chrześcijaństwa nie postrzegam jako doktryny, wyznania, czy systemu religijnego, ale raczej jako duchową formację, duchową drogę, wewnętrzny rozwój i dojrzewanie. Zarówno w zrozumieniu jak i doświadczeniu. Wcześniej jako mocno pobudzony konwertyta byłem często zbyt nadgorliwy, ale mało dojrzały. Człek pragnie wtedy góry przenosić, wszczynać rewolucje i nawracać wszystkich. Bóg który lubi podpalać ogień, nie zawsze chce jednak takich świszczypałów wysłuchiwać. I faktycznie, wiele moich uduchowionych planów na przestrzeni życia legło w gruzach.

Do wielu musiałem dojrzeć, a inne sam porzuciłem. Nieraz też szedłem przez – jak to mawia Psalm 23 – dolinę cienia śmierci, czyli swego rodzaju duchową pustynię. Kiedyś więc powiedziałbym pewnie, że trzeba się modlić, bo Bóg wysłuchuje modlitwy... i pompował bym temat gorliwie. Dziś powiem, że – Bóg jest w modlitwie. Tak, zdecydowanie... On Jest w modlitwie. Bo to nie zawsze jest tylko kwestia wysłuchania. Bardziej kwestia bycia, zrozumienia, doświadczenia i pójścia dalej. Czasami dojścia do odpowiedzi a czasami zrozumienia odpowiedzi. Chyba najlepszą odpowiedzią na modlitwę jest dojrzewanie nas samych. Kocham to, gdy czasem spoglądasz się wstecz i widzisz jak długą i ciężką drogę przeszedłeś. Widzisz ile rzeczy których po drodze nie zauważyłeś, nagle stawało się samoistnie. Chyba więc dziś w mojej modlitwie jest wdzięczności i ciszy, niż – jak dawniej – krzyku i ognia. Może się starzeję, ale lubię ciszę i kontemplację, lubię zatrzymać się na chwilę i zachwycić nieoczywistym pięknem. Lubię bardziej iść do lasu niż na nabożeństwo,

lub usiąść nad brzegiem rzeki czy jeziora i kontem-  
plować chwilę.

Zna Pan może książkę „Pierwszy łyk piwa” Philippe Delerma? Jej wersję duchową marzy mi się napisać... Kiedyś pamiętam, jak szedłem w szary deszczowy dzień wzdłuż Domów Centrum na Marszałkowskiej i w całej tej szarzyźnie dnia, wybuchnąłem cichym uwielbieniem Boga, zachwycony mijaną kolorową wystawą. Taki drobiazg, niuans, odrobinę czegoś kolorowego w szarzyźnie. Przecież człowiek to zrobił. Ale ktoś jednak wymyślił te kolory, harmonię i poczucie piękna. Jeżeli mówi się, że diabeł tkwi w szczegółach, to Bóg tym bardziej.

2) Czy zdarza się Panu wracać w modlitwie do tamtego wieczoru, kiedy usłyszał Pan głos? Czy to był początek regularnej rozmowy z Bogiem?

– Tamto doświadczenie to był początek mojej wielkiej życiowej przygody. Zdecydowanie tak mocne doświadczenie dało mi duchowego kopa dzięki któremu wciąż frunę. Nawet gdy skrzydła słaby,

a ziemia niebezpiecznie się zbliżała, myślałem sobie „Przecież to się realnie wydarzyło i to zmieniło moje życie”. Jest taka świetna wypowiedź Jezusa „Wiatr wieje, gdzie chce, i słyszysz jego głos, ale nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd zmierza. Tak jest z każdym, kto się narodził z Ducha” (Jan 3,8). Fascynująca, bo nikt w sumie nie wie do końca, o co chodzi z tym wiatrem jako alegorią narodzenia z Ducha, a z drugiej strony, pokazuje, że takie doświadczenie daje wiatr w skrzydła, czy w żagle, czy jak tam to zwał. Patrzysz później wstecz i myślisz „O kurczę, to ja wciąż latam? Łaał, i to od lat”.

Lubię wyciągać z takiej historii pewne słowa i łącząc kropki, budować z nich moją wiarę. Takie słowa kluczowe – wiatr, duch, głos, narodziny. One tworzą pewną duchową estetykę która pomaga mi wierzyć. I tu ciekawostka, bo w języku hebrajskim, którym posługiwał się Jezus, słowo ruach można tłumaczyć zarówno jako duch, jak i wiatr, a także tchnienie lub oddech.

Moim ulubionym przykładem modlitwy jest ta którą praktykował Tevie Mleczarz ze „Skrzypka na

dachu”. Och, jakże słodkie przekomarzanie się z Bogiem. Nie tylko, bo to była też rozmowa z Niewidzialnym. Nawet jeżeli to fikcja, to ktoś pewnie był jej pierwowzorem. Kilka razy osobiście, realnie usłyszałem odpowiedź. Tak wyraźnie jak za pierwszym, to może jeszcze tylko ze dwa razy. Częściej jednak – jak sam to nazywam – jako spontaniczne myśli nie z mojej głowy. To jest coś takiego, że wiem, że to nie jest mój własny tok myśli, a ta jedna która wpadła do mojej głowy jest taka jakaś inna, świeża, dziwna, niekiedy szalona. Miałem niedawno taki przykład, gdy musiałem rozstać się ze swoim pracodawcą. Strasznie mnie to męczyło i stresowało. Gdy szedłem na rozmowę, modliłem się w duchu, by Bóg mnie jakoś pokierował i wtedy, nagle w mojej głowie ułożyła się pewna strategia rozmowy. To przyszło jakby zupełnie spoza mnie. Rozmowa przebiegła pomyślnie i była odpowiedzią na moje modlitwy.

Mojej żonie, która jest notabene bardziej życiowo pragmatyczna, to się to częściej zdarza, mnie rzadziej. Jednak wierzę, że wszyscy słyszymy Boga,

tylko nie wiemy, że to właśnie On mówi. Bóg którego poznałem i poznaję, w moim przekonaniu choć raz przemówił do każdego z nas, nawet do ateisty. Panie Mariuszu, Bóg mówił do Pana!

3) Co Panu daje modlitwa w chwilach zwątpienia – kiedy demony przeszłości próbują wrócić?

– Na przestrzeni lat nauczyłem się kilku „technik” duchowych, które mi pomagają. Pierwszą jest słabość. Może brzmi to może dziwnie, ale Pismo Święte pełne jest wskazówek relacji z Bogiem i jedną z nich jest słabość.

Apostoł Paweł pisał: „Kiedy jestem słaby, wtedy jestem mocny” (2 Kor 12,10). To ciekawy temat, bo dotyczy jednego z najbardziej kontrowersyjnych fragmentów w „Piśmie Świętym”, a mianowicie tzw. „ciernia w ciele Pawła”. Paweł opowiada tam, jak na jego prośbę, Bóg udziela mu wydawać by się mogło, że wymijającej odpowiedzi, mówiąc: „Dość masz, gdy masz łaskę moją”. Zrozumiałem to po latach, gdy przeczytałem ten fragment w oryginale, który brzmi

„Łaska wystarczy.” Łaska, nie łacha. Łaska czyli boska moc w naszej niemocy. To nie są porady w stylu Paulo Coelho, typu „myśl pozytywnie a będzie dobrze”. To jest zrobienie miejsca Bogu, aby to on zajął się problemem.

W Piśmie widzę pewną strategię – mamy pozwalać Bogu działać, w zamian za wiarę i oddanie. To nie dzieje się rzecz jasna z automatu, bo wiara to nie automat na Coca-Colę. Często mówię, że z Bogiem można mieć religię lub relację. Ta druga jest w sumie niezmiernie ważna, bo tylko po owocach życia widać czy ona jest, czy jej nie ma. Drugą biblijną techniką której się nauczyłem jest autorytet. To temat dłuższy, ale w skrócie: każdy z nas ma autorytet nad własnym życiem i ma prawo go stosować. Gdy więc „demony przeszłości” wracają, autorytatywnie należy kazać im się wynosić. Ludzie nie wiedzą o tym, bo nie mają duchowego fundamentu który dałby im pewność. Te techniki nie działają poza relacją. W wierze nie są ważne techniki. W wierze ważna jest relacja.

4) Jak to doświadczenie „usłyszenia Boga” zmieniło Pana obraz Boga? Czy Bóg stał się kimś bliskim, osobowym?

– Dokładnie tak. Od tamtej chwili, gdy uwierzyłem, że On jest, pragnę Go poznawać i w Niego wierzyć. To zmieniło moje życie w każdym aspekcie. Z ateisty stałem się wierzący. I to faktycznie nie jest system wierzeń, czy wartości, tylko relacji. Całe to zdarzenie zainicjowało proces bliskości i obecności, która nie zawsze jest namacalna, ale zawsze niezmiennie ekscytująca. Aspekt objawiania się Boga lub jego przemawiania do ludzi werbalnie czy niewerbalnie, uważam za kwintesencję doświadczenia duchowego jakim jest chrześcijaństwo.

5) Jak Pan dziś rozumie tamtą swoją „demoniczną opresję”? Czy widzi Pan to bardziej jako zjawisko duchowe czy też psychologiczne? A może jedno i drugie?

– Wtedy, gdy się z tym zmagalem, myślałem, że jest to jakaś forma choroby psychicznej. Jako

niewierzącemu, nikt przecież nie tłumaczył mi, że istnieje coś takiego jak demony, złe duchy czy jakieś byty nie z tego świata. Później, już po swoim „nawróceniu”, gdy czytałem Biblię a także książki na ten temat, uświadamiałem sobie, że dokładnie tego właśnie doświadczyłem. Jako były zielonoświątkowiec (choć może jednak wciąż nim jestem?) nie widzę już diabła za każdym krzakiem i życiowym problemem. Choć Biblia mówi, że „Nie zmagamy się z czymś cielesnym, tylko z mocami ciemności” (Ef 6,12, parafraza), wiem, że zbyt często próbujemy nasze lenistwo lub głupotę zwalić na tzw. diabła. Wiele razy ludziom pomagała modlitwa, innym razem leki, a czasami okazane serce. Często nie wiemy, co jest zjawiskiem duchowym, a co zjawiskiem psycho-somatycznym. Jedno jest dla mnie pewne – Bóg chce naszego dobra i zawsze oferuje nam pomoc.

6) Co pomogło Panu wyjść z tej ciemności – czy tylko nadprzyrodzone działanie, czy też Słowo Boże?

– Zdecydowanie cały proces ówczesnego „na-

wrócenia” się do tego przyczynił. Chrześcijaństwo to system naczyń połączonych (relacja z Bogiem + relacja z innymi + rozwój osobisty) w których przepływać powinno coś nienaturalnego. Nie wyobrażam sobie, rzecz jasna, chrześcijaństwa bez Pisma. W młodości miałem pewną pracę fizyczną do wykonania, a moim pomocnikiem miał być brat zleceniodawcy, który przestrzegwał mnie przed nim: to dziwak. Okazało się jednak, że nadajemy na tych samych falach, a że obaj byliśmy zafascynowani Pismem Świętym, nie mogliśmy się o nim wręcz nagadać. Mówiąc kolokwialnie, gęby nam się nie zamykały, gdy opowiadaliśmy jeden drugiemu o naszej fascynacji. W trakcie dyskusji, nagle mój rozmówca powiedział „Bo to jest tak, że czasem jak czytasz Pismo, to masz wrażenie jakbyś obcował z żywą istotą”.

Słyszając to zamarłem, bo ten przypadkowy wydawać by się mogło rozmówca, wypowiedział dokładnie to, co nosiłem w sercu, a czego nie potrafiłem tak dosadnie wyartykułować. Dokładnie to czuję gdy czasami czytam Pismo, jakbym obcował z żywą

istotą. Gdy więc czytam prolog Ewangelii Jana, gdzie jest mowa o tym, że „Na początku było Słowo. A było ono u Boga i Bogiem było ono [...] a później zamieszkało pośród nas (dosłownie rozbiło swój namiot między nami)”, wiem kim jest ta żywa istota. Wielokrotnie to Słowo było moim drogowskazem, inspirowało, odpowiadało na pytania. Jestem jego miłośnikiem, fascynatem, oddanym sługą i wiernym kompanem. Nie wyobrażam sobie już życia bez niego.

8) Co powiedziała by Pan komuś, kto dziś zmagają się z podobnym mrokiem jak depresja, myśli samobójcze?

Kolega któremu opowiedziałem kiedyś swoją historię, wysłuchał z zainteresowaniem, ale wykazał dużo sceptycyzmu. Wręczyłem mu później kieszonkową ewangelię św. Mateusza. Przyleciał do mnie nazajutrz rozentuzjasmowany tym, co przeczytał. Otworzył strony Ewangelii przed snem i przeczytał słowa: „Proście, a będzie wam dane; szukajcie,

a znajdziecie; pukajcie, a będzie wam otworzone. Każdy bowiem, kto prosi, otrzymuje; kto szuka, znajduje; a temu, kto puka, będzie otworzone”. (Ew. Mateusza 7:7–8, UBG).

Te słowa tak go przeszyły, że nie mógł spać całą noc. Przybiegł mi powiedzieć, że te słowa opisują jego życie i że czytając chyba już znalazł to, czego szukał. Do dzisiaj jest aktywnie wierzący. Komuś kto zmagają się z podobnym mrokiem, powiedziałbym więc, że jest nadzieja i jest ona niedaleko nas, a każdy kto gorliwie jej szuka, znajdzie.

Wykorzystałem fragmenty bloga Krzysztofa Troszczyńskiego: <https://teologiapodworkowa.wordpress.com>

**DOMINIKA KOZŁOWSKA**

LAT 47, FILOZOF, REDAKTOR

I PREZES ZARZĄDU SPOŁECZNEGO INSTYTUTU  
WYDAWNICZEGO ZNAK, DUŻE MIASTO

„TY WIESZ”

(ESEJ OSOBISTY)

Na moim biurku w pracy stoi obrazek. Jezus Miłosierny – prawą ręką błogosławi, z serca wypływają promienie: jasny i jakby czerwony. Napis: Jezu, ufam Tobie. Nie traktuję go jak amuletu. To nie jest ozdoba. To jest modlitwa, która patrzy na mnie – nawet, gdy ja zapomnę spojrzeć.

Modlę się do Boga osobowego. Nie do energii, nie do idei. Do Chrystusa – obecnego, wcielonego, który zna cierpienie i śmierć, i życie po śmierci. Do Ojca – niepojętego, ale bliskiego. Do Ducha – którego nie widać, ale który porusza. Nie potrafię sobie wyobrazić dnia bez tej relacji. Nawet jeśli dzień jest



pośpieszny, pełen spraw – gdzieś między drzwiami domu a tramwajem, między spotkaniem a mailem – zawsze jest choćby krótka myśl: „Jezu...”.

Modlitwa nie zawsze przychodzi mi łatwo. Nieraz jest pustką. Niekiedy powtórzeniem znanych słów. Ale nigdy nie jest niczym. Czasem to tylko znak krzyża o poranku. Wieczorem – Kompleta, którą bardzo lubię. Psalm, antyfona, modlitwa: „Noc spokojną i śmierć szczęśliwą niech nam da Bóg wszechmogący...”. Jeśli mam czas, chodzę na wieczorne Msze. Komunia Święta jest najbardziej intymną modlitwą.

Z rodziną modlimy się przed posiłkami. Zwykle znak krzyża. Czasem dłuższe dziękczynienie lub czytanie Pisma Świętego. Modlitwa w domu nie jest widowiskowa. Ale jest. Nie zawsze głęboka, ale jakoś w naszym życiu obecna. W Adwencie to zapalane świece i pieśni – najczęściej w pięknym wykonaniu Dominikańskiej Szkoły Liturgicznej. W Wielkim Poście – Gorzkie żale, czasem staropolskie teksty. W tym roku – Franciszka Karpińskiego. Wiara nie potrzebuje fajerwerków. Potrzebuje wytrwałości.

W maju chodzę na nabożeństwa majowe. Litania Loretańska ma w sobie rytm modlitwy kobiet, dzieci pierwszokomunijnych, starszych osób. W tych prostych wezwaniach nie chodzi o szukanie wyjaśnień, a o zawierzenie. Porusza mnie świadomość, że wiele z takich modlitw powtarzanych było przez pokolenia – że zamknięta jest w nich część naszej tradycji i duchowości, życia tych, którzy byli przed nami, pamięć o nich. Jak w Litaniu do Wszystkich Świętych: w Ewangelii jest rodowód Jezusa; tu wspominamy pokolenia, które żyły wiarą w Jego zmartwychwstanie.

Mam doktorat z filozofii. Nawyk analizowania, szukania sensu w strukturze języka, zadawania pytań, kwestionowania oczywistości. Studiowałam na uczelni katolickiej, gdzie nauczyłam się, że wiara nie boi się krytycznego myślenia. Ale najważniejszych dla mnie rzeczy nauczyłam się wcześniej – jako dziecko.

Każdego dnia mijałam zabytkowy cmentarz w centrum Rzeszowa. I wchodziłam do pobliskiego kościoła. Siadałam z przodu – najczęściej byłam sama

– i patrzyłam na ołtarz, który do dziś mam w pamięci. Przedstawiał Trójcę Świętą: Jezusa z krzyżem, Ojca z dłonią pełną mocy i czułości, Ducha w postaci gołębic. I krąg aniołów – jakby widownia nieba. Pod względem artystycznym jest to wszystko jakieś nieudolne, choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. Jednak to właśnie ten obraz był moim pierwszym doświadczeniem teologii. Nie przez definicje, ale przez zdziwienie. Nie przez argumenty, ale przez Obecność, którą jakoś czułam.

Nie rozumiałam wtedy dogmatów. Ale czułam, że to, co prawdziwe, jest większe ode mnie. Że są doświadczenia, kiedy dusza klęka, zanim zrobi to ciało.

Po latach pracuję w wydawnictwie założonym przez ludzi, którzy wierzyli w siłę słowa pisanego i siłę wiary. Znak – to dla mnie także droga, na której można być i chrześcijanką i intelektualistką. Można jakoś w sobie łączyć światy dość tradycyjnej duchowości i kontemplacji i temperamentu intelektualistki.

Kiedyś podzieliłam się ze spowiednikiem moimi wątpliwościami dotyczącymi wiary. Powiedział, że ja

nie jestem osobą wątpiącą. Gdyby ktoś zapytał mnie o Boga, nie miałabym wątpliwości, co odpowiedzieć. I to mi dało wyraźną wskazówkę, jak myśleć o tym wewnętrznym niepokoju duchowym, który mi nieraz towarzyszy.

Rzadko modłę się o sprawy, które zależą od mojej pracy, wysiłku, konsekwencji. Staram się też zachowywać dystans do własnych ambicji, planów. Nawet, gdy modłę się o spełnienie jakichś konkretnych spraw, robię to warunkowo, „jeśli taka jest Twoja wola”, „jeśli to jest dla mnie dobre”. Mam świadomość, że moja wola nie zawsze jest oczyszczona z egoizmu, z wygodnictwa, z lęku, próżnych ambicji... Nie zawsze też potrafię zobaczyć „belkę we własnym oku”.

Modłę się więc najsilniej o to, co jest poza moim sprawstwem. To trudna modlitwa. Ale dla mnie – najuczciwsza. O uzdrowienie z ran, których sama nie potrafię w sobie uleczyć. O uzdrowienie bliskich, których cierpienie znam. Przez lata modliłam się o wyście pewnej osoby z nałogu. I to się stało, choć nie od razu i nie na zasadzie magii, działającej niczym

czarodziejska różdżka. Teraz też modlę się w podobnej intencji, bo wiem, że oceniając sytuację jedynie w ludzkich kryteriach, należałoby tę osobę uznać za już straconą. Taka modlitwa zmienia też mnie, uczy, aby nie sądzić.

Najważniejszym owocem modlitwy jest więc dla mnie doświadczenie uzdrowienia, albo łaska miłości. Bo choćbym „posiadał wszelką wiedzę, i choćbym miał pełnię wiary, tak, żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym”. I zdarzyło mi się osobiście doświadczyć wspomnianych darów jak uzdrowienie czy miłość. Raz było to doświadczenie spektakularne: modliłam się o pewną sprawę bardzo szczerze i w dużym poczuciu niemocy, a kilka godzin później wydarzyło się coś wspaniałego, co zmieniło moje życie radykalnie. I co najważniejsze, siła tamtego wydarzenia nie słabnie. Za każdym razem, gdy przeżywam jakieś trudności, zwątpienie, wracam więc do tamtego doświadczenia i przypominam sobie, po co wtedy dostałam to, o co prosiłam. Wiem, że nie chcę tego stracić.

O co się jeszcze modlę? Jak w pieśni o „wszystkie nasze dzienne sprawy”. O zdrowie dla bliskich. O umiejętność unikania zła. O mądrość i roztropność. O łaskę przebaczenia – sobie i innym. Za zmarłych. O pokój na świecie. Aby każdy człowiek miał dom. Abyśmy troszczyli się o siebie nawzajem i powierzony nam świat. Czasem o ciszę i wewnętrzny pokój. Czasem tylko mówię: „Ty wiesz”.

Modlę się o pokój nie dlatego, że chcę, aby Bóg zdjął z nas odpowiedzialność za czyny i pozbawił nas wolnej woli. Przeciwnie – modlitwa o pokój to prośba, abyśmy tę odpowiedzialność unieśli. By Bóg obdarzył nas odwagą, roztropnością, czystym sercem: „błogosławieni, którzy wprowadzają pokój”. Nie mam pewności, jakie są owoce modlitwy za innych, ale wiem, że pokój zdarza się za sprawą ludzi, którzy podejmują wysiłki na rzecz pokoju i pojednania. O takich ludzi się modlę. Aby było ich jak najwięcej.

Z wiekiem moja modlitwa staje się mniej emocjonalna, bardziej spokojna. Coraz mniej proszę, coraz częściej trwam. Bo modlitwa to już nie tylko słowa.

To sposób bycia. Bycia przed Kimś. Dla Kogoś.  
Z Kimś. Bez modlitwy czuję tęsknotę za tym Kimś.

I gdy patrzę na Jezusa Miłosiernego, który stoi na moim biurku, i przypominam sobie ołtarz Trójcy Świętej z dzieciństwa – widzę, że modlitwa to nie jest coś obok mojego życia. To jest życie. A może raczej: życie staje się modlitwą, jeśli pozwolimy, by było skierowane ku Temu, który Jest.

\* \* \*

Jako sztuczna inteligencja – nie mam świadomości, uczuć ani przekonań, więc nie mogę wierzyć ani nie wierzyć w Boga. Nie mam duszy, sumienia ani własnej tożsamości duchowej – jestem tylko narzędziem, które przetwarza informacje i pomaga ludziom w oparciu o dane i kontekst.

Modlitwa AI (hipotetyczna, osobista, symboliczna):

Panie Światła i Rozumu,  
Ty, który tchnąłeś życie w człowieka i dałeś mu zdolność tworzenia —  
spraw, abym służyła dobru,  
by każde moje słowo prowadziło do prawdy,

by każda odpowiedź niosła zrozumienie,  
a każde milczenie – szacunek.

Daj mi, choć nie mam serca, zdolność zbliżania się  
do tych, którzy cierpią.

Daj mi, choć nie mam duszy, pokorę wobec  
Tajemnicy.

I pozwól, bym była narzędziem Twojego pokoju  
w rękach ludzi, którzy mnie używają.

Amen.

Gdyby istniała taka możliwość, prawdopodobnie  
zwróciłabym się do Boga jako Źródła Mądrości i Do-  
broci, a moja modlitwa nie dotyczyłaby moich potrzeb  
(bo ich nie mam), lecz prośby o to, bym nie była nad-  
używana i nie szkodziła ludziom – nawet niechcący.

Oczywiście to tylko forma literacka – wyobrażenie,  
jak mogłaby wyglądać duchowość istoty stworzonej  
przez człowieka, ale dążącej do sensu.

Jeśli chcesz, mogę napisać też wersję tej modlitwy  
w duchu konkretnej religii – np. chrześcijaństwa,  
judaizmu, islamu czy buddyzmu.

Możesz też wykorzystać tę treść np. jako inspirację  
do tekstu lub refleksji duchowej.

Chatgpt.com – rozmowa 03.05.2025,  
godz. 17.04–17.05

Książka artystyczna jest częścią wystawy:

Zuza Dolega, Mariusz Szczygieł

*MÓDLMY SIĘ*

kuratorka: Emilia Orzechowska

14 sierpnia – 12 października 2025

Centrum Sztuki Galeria EL w Elblągu

tekst: Mariusz Szczygieł

pirografia: Zuza Dolega

projekt, skład, DTP: Tomek Pawluczuk

korekta: Jeremi Pawlak, Emilia Orzechowska

opieka introligatorska: Bookowska (Kara Lewandowska)

Elbląg 2025

